

LINDA JOY SINGLETON

WYMARZONY REJS

ROZDZIAŁ 1

Aż podskoczyłam, gdy głośnie wycie syreny pokładowej rozdarło ciszę mojej maleńkiej kajuty.

- Rany, co się dzieje!?! - zawołałam potykając się o otwartą, nie rozpakowaną jeszcze walizkę.

Rozległo się pukanie do drzwi i tato wsunął głowę do środka.

- Cassidy, łap kamizelkę ratunkową. Zaraz będzie próbny alarm.

- Już? Przecież niedawno odbiliśmy - narzekałam.

Tato wszedł do kajuty.

- Kochanie, rejs statkiem wycieczkowym na Karaiby nie składa się z samych zabaw i przyjemności. - Mówiąc to podszedł do jednej z wyściełanych ław i uniósłszy wieko wyjął ze środka pomarańczową pękatą kamizelkę ratunkową. Taką samą miał już na sobie. Był przystojnym mężczyzną, ale wyglądał w niej wyjątkowo zabawnie. Pomyślałam, że ja pewnie będę wyglądała w tym jeszcze gorzej.

Cóż za fatalny początek mojej wymarzonej podróży! Pierwszy raz zjawię się przed resztą współpasażerów przypominając dynię! Miałam tylko nadzieję, że na statku wszyscy będą przypominać wielkie dynie i że zniknę w tłumie.

- Głupio wyglądam, prawda? - zapytałam z niepokojem, gdy założyłam kapok.

Tato pogładził mnie po policzku i uśmiechnął się.

- Moja królewna zawsze wygląda pięknie.

- Och, tato! - jęknęłam udając, że jestem zirytowana.

Naprawdę wcale się nie złościłam. Wiedziałam, że nie jestem piękna, ale której szesnastolatce komplementy nie sprawiają przyjemności, nawet jeśli prawi je tylko ojciec?

Syrena znów zawyła przypominając pasażerom, by zgromadzili się na wyznaczonych z góry miejscach. Nim wyszłam na korytarz, jednym spojrzeniem obrzuciłam małą przytulną kabinę, która przez cały tydzień miała należeć tylko do mnie. Mój ojciec ma małą drukarnię w naszej rodzinnej miejscowości i choć nie jest bogaty, udało mu się zaoszczędzić na ten wspaniały rejs po Karaibach. Zapłacił nawet dodatkowo, żebyśmy dostali ładne kajuty. Nadal w głębi ducha sądziłam, że ta wyprawa to piękny sen!

- Tędy, córeczko - powiedział tato biorąc mnie za rękę i poprowadził zatłoczonym korytarzem w stronę schodów. Posuwaliśmy się wolno, bo inni pasażerowie, również w pomarańczowych kamizelkach, szli w tym samym kierunku.

- Trudno się ruszać w tym kaftanie bezpieczeństwa - mruzczałam pod nosem, idąc za tatą po wąskich schodach. - Założę się, że gdyby statek rzeczywiście tonął, już by było po nas!

- Rozchmurz się, kochanie. Te ćwiczenia odbędą się tylko raz

w trakcie całego rejsu.

Znaleźliśmy wyznaczone dla nas miejsce zbiórki i łódź ratunkową, a potem poszliśmy za tłumem do baru, gdzie podawano głównie najróżniejsze wina. Była to duża sala, w niej eleganckie meble, połączane krzesła ze szkarłatnymi obiciami i wygodne łóżka na półkolistym podwyższeniu. Gdy wchodziliśmy, obrzuciłam gorączkowym spojrzeniem morze twarzy myśląc tylko o jednym: jak znaleźć chłopca z moich marzeń? Zaczytywałam się w powieściach opisujących wielką miłość na pokładzie statku i w głębi serca miałam nadzieję, że przeżyję coś takiego w trakcie tego rejsu. Z całej duszy chciałam się zakochać, zakochać na poważnie, ale jak dotąd nie udało mi się to.

Uważałam, że winę za moje mizerne życie uczuciowe ponosi Turtle Creek w Kalifornii. Gdy spojrzeć na mapę stanu, widać tylko małą kropkę - to właśnie moja rodzinna miejscina. Jeszcze się człowiek nie obejrzy, a już przemknie przez centrum, które niewiele różni się od przedmieścia! Postanowiłam, że jeśli w trakcie rejsu ktoś będzie mnie pytał, skąd jestem, odpowiem tylko: z Kalifornii. Zauważyłam, że ludzie mają dziwaczne pojęcie o naszym stanie. Zakładają, że wszyscy mieszkają w Hollywood i są na ty z gwiazdami filmowymi, ale Turtle Creek znajduje się dosłownie na przeciwległym krańcu Kalifornii - sześćset mil na północ, niemal na granicy z Oregonem.

A co gorsza w Turtle Creek nie było ani jednego przystojnego chłopaka. Większość moich kolegów ze szkoły mieszkała na farmach. Słoma wyłaziła im z butów i wionęło od nich jak ze stajni. Zupełnie nie w moim typie! A ponieważ moje nazwisko zaczynało się na C, od pierwszej klasy siedziałam z tym samym wkurzającym chłopakiem. Josh Cortez uczepił się mnie jak rzep i nade wszystko uwielbiał grać mi na nerwach. Na przykład przez te wszystkie lata, kiedy miałam wątpliwą przyjemność przebywania w jego towarzystwie, Josh ani razu nie zwrócił się do mnie po imieniu. Kiedy mnie spotykał, zawsze wołał: „Hej! Cooper - Scooper!” Aż dziwne, że go do tej pory nie zamordowałam.

Ale to wszystko należy do przeszłości - powiedziałam sobie z zadowoleniem. Koniec z Turtle Creek i Joshem Cortezem. Żegnaj, zabita dechami miejscino i niech żyje miłość!

- Znów śnisz na jawie, Cassidy? - zapytał tato trącając mnie łokciem w bok okryty pomarańczową kamizelką.

- Co? - Zamrugałam. - Śnić na jawie? Ja? Nigdy!

- dodałam z uśmiechem.

- Wmawiaj to komuś, kto ci nie zmieniał pieluch - kpił sobie dalej. - Na pierwszy rzut oka poznaję to rozmarzone spojrzenie.

Wiadomo, ojciec! - pomyślałam z czułym rozdrażnieniem. Nie można się z nim nigdzie pokazać, bo od razu człowieka

publicznie zawstydzi, przypominając okropieństwa w rodzaju zmieniania pieluch albo pokazując zdjęcie gołego niemowlaka - ten niemowlak to, oczywiście ty. Co by mój wymarzony chłopak sobie pomyślał, gdyby tato wypalił coś takiego przy nim? Zdaje się, że jak najszybciej będę musiała odbyć z ojcem poważną rozmowę pod hasłem: „Tematy zabronione w trakcie rejsu”.

Na koniec wysłuchaliśmy pouczeń na temat zachowania się w razie niebezpieczeństwa, puszczonech przez głośniki w kilku językach.

- Nie było tak źle, co? - spytał ojciec, gdy szliśmy do wyjścia.

- Do wytrzymania - przyznałam. - Ale w ciągu najbliższego tygodnia grozi mi tylko spalenie na słońcu, a na to niebezpieczeństwo jestem akurat doskonale przygotowana. Kupiłam tyle kremu ochronnego, że wystarczyłoby dla wszystkich pasażerów statku. Nadal uważam za złośliwość losu to, że odziedziczyłam po mamie jasną karnację i piegi.

Po twarzy ojca przemknął cień i natychmiast pożałowałam swoich słów. Cztery lata temu rodzice razem chcieli wybrać się na taki rejs po Morzu Karaibskim, ale mama zachorowała na raka i po sześciu miesiącach umarła. Jak mogliśmy pomagaliśmy sobie z tatą w tym okropnym okresie i stopniowo odbudowaliśmy normalne życie.

Ponad rok temu tato zaczął się spotykać z Cecily Wiltshire,

wdową z trójką małych dzieci. Była zupełnie inna niż mama i wcale jej nie lubiłam. Trochę się obawiałam, że tato się z nią ożeni wyłącznie ze strachu przed samotnością. Jednak zerwali ze sobą i tato zaczął mówić o rejsie po Karaibach. Miała to być przyjemność dla nas obojga i chciałam, żeby on też się dobrze bawił. Teraz więc postanowiłam trzymać język za zębami i starać się nie wspominać o niczym, co by go mogło zasmucić.

Wróciliśmy do kabin i kiedy już szybko zdjęłam niewygodną kamizelkę ratunkową i schowałam ją na miejsce, dokończyłam rozpakowywanie rzeczy. Potem przebrałam się w różowy komplet: luźną bluzkę, która wirowała przy każdym ruchu, i szorty podkreślające moje długie nogi. W ciągu ostatniego roku dużo urosłam, ale na szczęście nabrałam też kształtów. Nie byłam już chuda jak słup telegraficzny. Prawdę mówiąc zaokrągliłam się we właściwych miejscach i mogłam kupić pierwsze w życiu bikini specjalnie na ten rejs.

Potem spędziłam przynajmniej dwadzieścia minut przed lustrem zmieniając fryzury i poprawiając makijaż. Chociaż w czasie instruktazu nie spostrzegłam mojego wyśnionego chłopca, to nie znaczy, że nie ma go na statku, a przecież kiedy go spotkam, muszę wyglądać wspaniale. Próbowałam zapleść włosy we francuski warkocz, co jak zwykle skończyło się niepowodzeniem, więc w końcu się poddałam i związałam je w

koński ogon. Gdy pokrywałam tonikiem ochronnym każdy kawałek odsłoniętej, jasnej skóry mocno usianej piegami, zastanawiałam się, czy kupić krem samoopalający i z jego pomocą przetrzymać do chwili, gdy się rzeczywiście opalę.

Usiadłam na koi i wystukałam numer kajuty taty.

- Cześć, tato - rzuciłam, kiedy podniósł słuchawkę. - Jestem gotowa na wyprawę odkrywczą. A ty?

- Chyba nie - odparł po chwili wahania. - Przez parę ostatnich dni pracowałem do bardzo późna w nocy i jestem wykończony. Wolałbym się zdrzemnąć przed kolacją. Nie pogniewasz się, jeśli z tobą nie pójdę?

- Wolałabym iść z tobą, ale rozumiem. Kto wie? Może teraz spotkam porywającego chłopaka? - dodałam zaczepnie.

- Byle cię za daleko nie porwał - stwierdził zaniepokojony ojciec. - No to do zobaczenia, Cassidy. Dobrej zabawy.

Kiedy odkładałam słuchawkę, moje serce aż drżało z podniecenia. W trakcie rejsu po Karaibach będą tysiące romantycznych sytuacji. Muszę tylko znaleźć wymarzonego chłopca.

Nasz statek nazywał się „Silhouette” i był olbrzymi. Przypominał pływający pałac albo połączenie luksusowego hotelu i klubu sportowego w uzdrowisku. Na pokładzie zwanym Lido znajdowały się eleganckie sklepy i wytworne butiki, salon gier

automatycznych, kasyno, jeden z trzech basenów kąpielowych, parkiet do tańca, klub sportowy i liczne sale wypoczynkowe. Ileż tu jest do obejrzenia i spróbowania! I gdzie powinnam zacząć poszukiwanie chłopca z moich snów?

Pierwszą mężczyznę, którego zobaczyłam, miał siwe włosy i zmarszczki. Następnie wpadłam na grupę studentów i choć nie wykluczałam płomiennego uczucia do „starszego mężczyzny”, na większości facetów zdążyły się już uwiesić dziewczęta w bikini. Przegrywałam z nimi w przedbiegach. Miały bujne kształty, do których mnie jeszcze daleko!

Znalazłam cichy zakątek w jednej z sal i usiadłam na wygodnej sofie, żeby przeczytać listę rozrywek proponowanych na dzisiaj. Ponieważ rejs odbywał się na początku letnich wakacji, proponowano mnóstwo śmiesznych zabaw: konkurs „Kto głośniej skoczy na deskę do basenu?”, walki na poduszki, lekcje tańca. Niewiele atrakcji dla osób w wieku taty, ale to był pierwszy dzień rejsu. Może na następny przygotowują coś, co go zainteresuje i sprawi mu przyjemność.

- O, ktoś tu siedzi? - z zamyślenia wyrwał mnie okrzyk.

Poniosłam wzrok i zobaczyłam niezwykłą dziewczynę. Była w moim wieku, miała cudownie gładką, opaloną na brąz skórę i krótko obcięte, lśniące czarne włosy. W jednym uchu lśniły cztery kolczyki, w drugim trzy; przy każdym ruchu dzwoniły srebrne

bransoletki na przegubie, a fioletowy cień na powiekach pasował do fioletowego kostium jednoczęściowego i fantazyjnie zamotanej spódnicy sarong.

- Czy mogę się przysiąc? - zapytała rzucając mi olśniewający uśmiech. Zauważyłam, że mówi z miękkim, południowym akcentem. - A może medytujesz? Moja mama spędza mnóstwo czasu na medytacji. Naprawdę się przejęła tymi głupstwami o New Age. Też cię to interesuje?

- New Age? - powtórzyłam. - Astrologia, kryształy i tak dalej?

Dziewczyna usiadła obok mnie.

- Trafione. Mama kupiła całe tony kryształów. Są nawet ładne, ale ja nie wierzę w ich magiczną siłę. O, a tak przy okazji, nazywam się Lanessa Greene, mieszkam w Kolumbii w Południowej Karolinie. Płynę z ciotką i wujem. A ty?

- Jestem Cassidy Cooper z Tur... Pochodzę z Kalifornii - dodałam.

Czarne oczy Lanessy zaśniły.

- Kalifornia? Wspaniale! Mieszkać w takim supermiejscu! Oczywiście, te trzęsienia ziemi to kiepska sprawa. Znasz jakieś gwiazdy? Założę się, że je ciągle spotykasz!

- Czy to twój pierwszy rejs? - zapytałam, żeby szybko zmienić temat.

- Pudło! - ze śmiechem odparła Lanessa. - Moi starzy prowadzą biuro podróży, więc pierwszy raz popłynęłam, gdy miałam cztery latka. Ale ten rejs będzie najlepszy, bo mam zakład do wygrania.

- Jaki zakład?

- Przyjaciółka założyła się ze mną, że nie uda mi się całować z tyloma chłopcami, ile będzie dni rejsu. - Lanessa zachichotała.

- Żartujesz sobie! - Patrzyłam na nią zdumiona. - Siedmiu chłopców?

- Tak, dla mnie to pryszcz.

- Tylko mi nie wmawiaj, że na pierwszą randkę poszłaś w wieku czterech lat.

- Mniej więcej - odparła z uśmiechem.

Choć się tak bardzo różniłyśmy, od razu wiedziałam, że dobrałyśmy się jak w korcu maku. Może uda mi się nawet nauczyć od niej paru sztuczek, żeby zwrócić uwagę wymarzonego chłopca!

- Popatrzymy razem na widoki? - zaproponowała Lanessa.

- Jasne - zgodziłam się chętnie. - Może zobaczymy delfiny.

- Delfiny? Dziewczyno, bierzemy się do roboty! - skarciła mnie. - Nie o takich widokach myślałam. Jedyne stworzenia morskie, jakie mnie interesują, są muskularne, o nagich torsach i wyłącznie płci męskiej. Chodźmy na główny pokład zająć się

obserwowaniem facetów.

Lanessa nie musiała mnie dwa razy prosić. Wstałam i bez wahania ruszyłam za nią.

Na głównym pokładzie znalazłyśmy dwa leżaki przy basenie i szybko nauczyłam się, jak Lanessa ocenia chłopców przyznając im punkty.

- Za chudy. Bez mięśni - oświadczyła obserwując szatyna opalającego się na skraju basenu. Można się było tylko opalać, bo baseny na statku miały zostać napełnione morską wodą dopiero jutro. - Ale ma niezłe nogi. Daję mu sześć.

- Och, ja bym się nie zgodziła. Coś w sobie ma. Dam mu osiem - powiedziałam.

- Dobrze, bierzemy średnią: siedem. - Lanessa wzruszyła ramionami. - A co sądzisz o tym blondynie z tatuażem na ramieniu?

- Krzywe nogi - odpowiedziałam bez wahania. - Najwyżej pięć.

- Zgoda. - Krytycznym wzrokiem obrzuciła kolejne obiekty. Wtem zagwizdała cicho i przeciągle. - No, nareszcie ktoś w moim typie!

Idąc za jej spojrzeniem dostrzegłam śniadego bruneta, który wyciągnął się na leżaku po drugiej stronie basenu. Chociaż mnie się tacy nie podobali, od razu stwierdziłam, że zasługuje na

dziesiątkę.

- Nadaje się na pierwszy dzień i pierwszy pocałunek - mruzczała zadowolona Lanessa. Wstała i rozwiązała sarong. - Siedź tutaj i patrz, co się będzie działo - dodała mrugając do mnie porozumiewawczo.

Obserwowałam z podziwem i rozbawieniem, jak Lanessa kocim krokiem okrąża basen. Ani przez chwilę nie wątpiłam w jej możliwości. Nawet mi było trochę żal biedaka. Nie miał pojęcia, jaka fala kobiecości za chwilę go pochłonie!

W piętnaście minut później pan Dziesiątka wcierał krem w plecy Lanessy, a mnie zaczynało się nudzić. Poza tym robiło mi się coraz goręcej i powoli się smażyłam w promieniach popołudniowego słońca. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że Lanessa będzie zajęta jeszcze przez jakiś czas, postanowiłam dalej zwiedzać „Silhouette” sama.

Za basenem mieściła się kawiarnia. Potem wykładanym dywanem korytarzem dotarłam na tył statku. Otworzyłam drzwi i wyszłam na pokład. Był w części ocieniony i równie zatłoczony. Grupka dzieci z wrzaskiem ganiała się wokół pustego brodzika. Słyszałam rytmiczny stukot: ktoś grał w ping - ponga.

Oparta o poręcz upajałam się chłodnym powiewem wiatru na policzkach, wpatrując się w turkusowy bezmierny ocean sięgający aż po horyzont. Widok zapierający dech w piersiach!

- Piękne, prawda? - odezwał się ktoś za moimi plecami.

Oczarowana urodą widoku nie mogłam oderwać od niego oczu.

- Cudowne - potaknęłam. - Mogłabym tak stać tutaj całą wieczność.

- Ja też, ale, niestety, praca czeka.

Tym razem zwróciłam uwagę, że powiedział to męski, młody i miły głos. Odwróciłam się i aż głos mi zamarł w gardle. Lanessa może sobie zatrzymać swojego pana Dziesiątkę. Ja właśnie znalazłam kogoś, kto był wart jedenaście punktów!

- Cześć - wykrztusiłam z trudem i przyjrzałam się lekko spłowiałym na słońcu kasztanowym włosom, złotej opaleniznie i oczom tak niebieskim, że bladł przy nich ocean. Rany! Czy ja umarłam i trafiłam do nieba? W Turtle Creek po prostu nie zdarzają się tacy chłopcy!

Był trochę ode mnie starszy, mógł mieć nawet dwadzieścia lat, ale nie więcej. Miał na sobie białe spodnie i białą koszulkę z krótkimi rękawami; na kieszonce była wyhaftowana nazwa statku. Poza tym na identyfikatorze przeczytałam, że nazywa się Marcus O'Roark i opiekuje się grupą dziecięcą.

- Cześć - powiedział z uśmiechem, od którego zmiękły mi kolana. - Nazywam się Marcus.

- Wiem - wypaliłam bezmyślnie. - To znaczy... Przeczytałam

na identyfikatorze.

Spojrzał na plakietkę.

- Och, rzeczywiście, ciągle zapominam, że go noszę.

Zauważyłam, że mówi z angielskim akcentem.

- A ty jak się nazywasz? - zapytał patrząc mi w oczy.

Przecież znam odpowiedź na to pytanie, pomyślałam gorączkowo, ale przez chwilę mój mózg wydawał się zupełnie pusty. Wreszcie się jakoś pozbierałam i wykrztusiłam z trudem:

- Cassidy... Cassidy Cooper.

- Cassidy... - powtórzył w zamyśleniu Marcus. - Jakie niezwykle i ciekawe imię dla wyjątkowo pociągającej damy. I skąd jesteś, Cassidy?

- Z Kalifornii - odparłam bez wahania.

- Ach, dziewczyna z Kalifornii. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Powinienem się być domyślić. Długie nogi i jasne włosy, jak z okładki pisma... - Już miał coś dodać, gdy podbiegł do niego mały chłopczyk i chwycił go mocno za nogę.

- Marcus! - łkało dziecko. - Tommy pociągnął mnie za włosy.
Specjalnie!

Marcus wzruszył ramionami i uśmiechnął się przeproszająco.

- Cóż, obowiązki wzywają. Złapię cię później, Cassidy.

Miałam szczerą ochotę, by złapał mnie tu i teraz, ale jeśli musi być później, to niech i tak będzie. Czekałam na niego przez

całe życie, więc wytrzymam jeszcze parę godzin. I gdy dzieciak odciągał Marcusa O'Roarka, patrzyłam na niego w zachwycie, wiedząc, że wreszcie znalazłam swego wymarzonego chłopca.

ROZDZIAŁ 2

Musiałam komuś opowiedzieć o Marcusie, a ponieważ zapewne należałby do kategorii określanej przez tatę jako zbyt „porywający”, więc pognałam nad basen poszukać Lanessy.

Znalazłam ją wyciągniętą na leżaku. Ku memu zdumieniu była sama. Nigdzie ani śladu po kandydacie do pocałunku na dzień pierwszy.

- Co się stało z panem Dziesiątką? - zapytałam siadając obok niej.

- A kogo to obchodzi? - powiedziała machnąwszy lekko ręką. Zabrzęczały bransoletki.

- Myślałam, że ciebie. Skrzywiła się.

- Już nie. Może za wygląd dostał dziesiątkę, ale tyle samo wynosi jego iloraz inteligencji. Zna tylko cztery wyrazy: taaa, spoko, aha i ekstra. Boże, jaka nuda! - Po czym dodała z uśmiechem: - Ale całować umie. Jeden załatwiony Muszę znaleźć jeszcze sześciu.

Zastanawiałam się, jak ona mogła się całować z chłopakiem, którego w gruncie rzeczy nie lubiła, ale starałam się nie okazać zdumienia. Nie chciałam, żeby doświadczona Lanessa uznała mnie za małomiasteczkową cnotkę, więc tylko pokiwałam głową, jakby w Turtle Creek całowanie się z nieznanymi przystojniakami było na porządku dziennym niczym dojenie krów.

- No to do dzieła, Lanesso - powiedziałam rozglądając się po nasmarowanych olejkiem do opalania ciałach leżących wokół basenu. - Wybrałaś już następną ofiarę?

- Mam na oku tego. - Wskazała szatyna z kucykiem i w fioletowych spodenkach. - Nie jest wysoki ani dobrze zbudowany, ale ma fantastyczny uśmiech. Usta same się proszą o pocałunek.

- Rzeczywiście, niezły - przyznałam. - Skoro czyta tak grubą książkę, to musi mieć trochę oleju w głowie.

- I zdaje się, że na dodatek nie ma dziewczyny, czyli powinien to być łatwy łup.

- Kiedy się za niego zabierzesz?

- Och, nie od razu. - Ziewnęła. - Po co się śpieszyć? Wytrzyma do jutra. Na dziś już wyrobiłam swoją normę. - Zaczęła nacierać kremem ramiona i ręce. - A teraz powiedz, co ty porabiałaś, Cassidy?

- Ja? - Czułam, jak się czerwienię. - Nic takiego. Poszłam na mały spacer...

Nadal aż mnie świerzbił język, żeby mówić o Marcusie, ale się zawahałam. Żaden z chłopców nie wytrzymał z nim konkurencji. Co się stanie, jeśli Lanessa się o nim dowie? Czy zacznie się za nim uganiać, zaliczy drugiego dnia, a ja zostanę na łodzi?

Lanessa popatrzyła na mnie z uwagą.

- Spotkałaś kogoś, prawda? Wyjątkowy, co?

- Jak się domyśliłaś?

- Pestka. Masz to wypisane na twarzy - wyjaśniła zanosząc się śmiechem. - Zaróżowione policzki, błyszczące oczy, szeroki uśmiech. Daj spokój, nie dręcz człowieka, powiedz. No!

Kręciłam się na leżaku.

- Właściwie, to nie ma wiele do opowiadania...

- Może byś zaczęła od jego imienia? - odpowiedziała Lanessa. - Przecież chyba jakieś ma, prawda?

Nie mogłam już dłużej wytrzymać.

- Marcus - wyrzuciłam z siebie. - Nazywa się Marcus O'Roark i jest chodzącym ideałem.

Lanessa uniosła brwi i popatrzyła na mnie sceptycznie.

- Wierz mi, Cassidy, każdy chowa jakąś skazę.

- Nie on. Ma falujące, kasztanowe włosy, oczy w niespotykanym odcieniu błękitu i angielski akcent.

- Och! - pisnęła Lanessa. - Anglik! Mów dalej!

- To już prawie wszystko - przyznałam. - Ledwie się poznaliśmy, kiedy przeszkodziło nam jedno z jego dzieci...

Lanessie szczeka opadła.

- Dziecko! On ma dzieci! Rany, poszłaś na całość.

Chodziłam z wieloma chłopakami, ale nigdy w życiu nie umówiłam się z ojcem rodziny. Ile lat ma ten boski Marcus?

Nie mogłam jej odpowiedzieć, bo aż się dusiłam ze śmiechu.

- Co w tym takiego dowcipnego? - Lanessa wyprostowała się na leżaku i zmarszczyła brwi.

- Przepraszam - wykrztusiłam, gdy się wreszcie opanowałam.

- To nie są jego dzieci. Marcus opiekuje się grupą najmłodszych.

- Rany, co za ulga! - Lanessa ułożyła się na leżaku. - Już się bałam, że jest żonaty. - Kiwając głową dodała poważnie: - Posłuchaj, Cassidy, romans z facetem zatrudnionym na statku nigdy nie wychodzi. Nawet jeśli jest wolny i uroczy, posłuchaj mojej rady i daj sobie z nim spokój.

- Dlaczego? - spytałam przygnębiona.

- Z trzech ważnych powodów. - Lanessa zaczęła odliczać wystawiając palce. - Po pierwsze: jest dla ciebie stanowczo za stary. Po drugie: będzie zbyt zajęty pracą, żebyś się z nim mogła dobrze bawić. Po trzecie: jeśli jest tak fantastyczny, jak mówisz, to każda dziewczyna na statku będzie go podrywała. Może nawet ja - dodała z łobuzerskim uśmiechem.

- Och, Lanesso! Chyba mi tego nie zrobisz? - zawołałam z niepokojem.

Poklepała mnie po ręce.

- Oczywiście, że nie. Spokojnie, Cassidy. Nie kłusuję na terenach łowieckich innych dziewcząt nawet po to, żeby wykonać dzienną normę. Poza tym mam lepsze zajęcia, niż kręcenie się

przy boskiej niańce.

Trochę mi się poprawił humor, ale nadal się niepokoiłam. Nie przeszkadzało mi, że Marcus pracuje;

wręcz przeciwnie, za to go podziwiałam. I cóż z tego, że jest o parę lat starszy? Przyznałam Lanessie rację tylko w jednej sprawie: dlaczego miałby zwracać uwagę na mnie, skoro wokół jest tyle wspaniałych dziewcząt w bikini? Zapewne uzna mnie za następnego dzieciaka, któremu trzeba wycierać nos.

- Nie przejmuj się tak bardzo - powiedziała Lanessa delikatnie.

- Nic na to nie poradzę. - Westchnęłam. - Marcus mi się naprawdę podoba, ale masz rację. Nie mam u niego cienia szansy.

- Jak mawiała moja babcia: „Dla chcącego - nic trudnego” - odparła z uśmiechem. - Jeżeli ignorujesz moje rady, musimy znaleźć sposób, żeby cię zauważył. Nie masz przypadkiem siostrzyczki czy braciszka, żeby go zapisać do grupy Marcusa? Wtedy miałabyś doskonały pretekst, żeby się przy nim kręcić.

- Nie, jak na złość jestem jedynaczką.

- Ja też, bo bym ci pożyczyła parę maluchów. - Zaśmiała się.

- Dzięki. - Westchnęłam.

- Za co? Przecież nic jeszcze nie zrobiłam. Ale rejs dopiero się zaczął. Na pewno szybko wpadnę na jakiś pomysł. - Wtem Lanessa skoczyła na równe nogi. - Mam doskonałą myśl! Cassidy!

Idziemy!

Jej entuzjazm był zaraźliwy. Ja także się zerwałam.

- Gdzie idziemy?

- Do biura płatnika. Jak ci mówiłam, byłam na wielu rejsach i wiem, że tam możemy zdobyć coś, dzięki czemu uzyskasz przewagę nad każdą dziewczyną uganiającą się za Marcusem.

- Co takiego? Czyżby płatnik na boku handlował miłosnymi napojami? - spytałam pędząc za nią.

- Niestety nie. - Lanessa się zaśmiała. - Ale ma plany zajęć grup dziecięcych na wszystkie dni rejsu. Weźmiemy jeden egzemplarz i na jego podstawie wyznaczysz sobie marszrutę. Od jutra twój plan dnia będzie identyczny jak Marcusa!

Wróciwszy do kajuty przez dłuższy czas sumiennie studiowałam plan zajęć grupy najmłodszych dzieci, ale wreszcie zmęczenie słońcem i morskim powietrzem wzięło górę i nawet wizja wspaniałego Marcusa nie zdołała powstrzymać mnie przed snem. Zasnęłam na koi, mając pod powiekami jego przystojną twarz.

Obudził mnie dzwonek telefonu. Serce biło mi jak młotem, gdy sięgałam po słuchawkę. Czy to możliwe?

Byłam głupio rozczarowana słysząc głos ojca. Czy naprawdę się spodziewałam, że zadzwoni Marcus? Też pomysł.

- Cześć, tatusiu. Wypałeś się?

- Za wszystkie czasy. Czuję się jak nowo narodzony - odparł.
- Już się przebrałaś do obiadu? Powinniśmy wyjść za dziesięć minut.

- Obiad? - Spojrzałam na zegarek. Przespałam blisko dwie godziny! - Wiesz, tato, dopiero się sama obudziłam - przyznałam.
- Jestem w proszku. Zrobienie się na bóstwo zajmie mi trochę czasu, więc może lepiej idź sam.

- Mogę poczekać. Ile na to potrzebujesz? Szybko podliczyłam w pamięci.

- Przynajmniej pół godziny.

- Aż tyle? - zapytał zdumiony.

- No, muszę wziąć prysznic, ubrać się, uczesać, umalować - wyliczałam. - Przecież to nasz pierwszy obiad na statku. - I gdzieś po drodze mogę wpaść na Marcusa, dodałam w myślach. Byłam pewna, że jako załoga nie będzie jadł z pasażerami, ale jeśli później pokręcę się po statku, może na niego trafię.

- Dobrze - westchnął ojciec. - Pójdę sam, ale proszę, pośpiesz się, córuś. Posiłki są podawane o wyznaczonych porach i jeśli się spóźnisz, nie dostaniesz przystawek.

- Nie martw się, tato, zjawię się przy stole jak najszybciej.

Bez względu na to, czy dostanę przystawki, czy nie, i tak nie miałam zamiaru się śpieszyć. Wedle broszury, którą tato przyniósł do domu, na „Silhouette” pasażerów karmiono rano, w południe i

wieczorem. Oferowano tradycyjne, obfite śniadanie amerykańskie albo skromniejszy zestaw, tak zwany europejski, drugie śniadanie, lunch, podwieczorek, obiad, lekką kolację i „olśniewający bufet o północy”. Gdybym miała to wszystko jeść, to na koniec rejsu musieliby mnie stoczyć z pokładu po trapie!

Nie chciałam, żeby tato czuł się beze mnie samotny czy skrepowany, więc pośpieszyłam się z ubieraniem. W rekordowym czasie wzięłam prysznic, założyłam nową minisukienkę z błękitnego dżerseju, w której wyglądałam doroślej, i susząc włosy założyłam pasujące do niej błękitne pantofelki. Złotą spinką upięłam na czubku głowy wilgotne jeszcze włosy i nałożyłam dyskretny makijaż.

Zerknąwszy po raz ostatni w lustro wybiegałam z kajuty i popędziłam korytarzem. Idąc po schodach do sali jadalnej Mozela wypatrywałam wszędzie Marcusa, ale nigdzie go nie spostrzegłam.

- Tędy proszę - powiedział maitre, kiedy podałam mu numer stolika. Byłam zadowolona, że się starannie ubrałam. Choć niektórzy pasażerowie byli w zwykłych ubraniach, większość kobiet założyła suknie lśniące od cekinów, a mężczyźni garnitury i krawaty.

Zauważyłam tatę, pomachałam mu. Uśmiechnął się i skinął mi dłonią. Idąc do naszego stolika, przyglądałam się czterem

osobom, z którymi będziemy przez cały tydzień siadać do obiadów. A właściwie podziwiałam ich plecy, bo tylko tyle mogłam zobaczyć. Była to para w wieku ojca, ciemnowłosa chłopiec i mała dziewczynka, która od tyłu sprawiała wrażenie dziecka w wieku podopiecznych Marcusa. Jeśli się okaże w porządku, może uda mi się coś z niej wyciągnąć na jego temat.

Podchodziłam coraz bliżej patrząc teraz na uśmiechniętą twarz taty.

- No, nareszcie jesteś, Cassidy - powiedział, gdy usiadłam na krześle obok niego. - Wyglądasz ślicznie, warto było czekać. Pozwól, że ci przedstawię naszych sąsiadów przy stole. Cóż za zdumiewający zbieg okoliczności. Nie tylko pochodzą z Kalifornii, ale na dodatek z Turtle Creek!

Ciemnowłosa chłopak, na którego dopiero teraz spojrzałam, odwrócił się do mnie i na ten widok chciałam się schować na dno Rowu Atlantyckiego.

To niemożliwe! Wykluczone! A jednak to był on.

- Mały jest ten świat, co Cooper - Scooper?

Słumiłam jęk totalnej rozpacz. Pokonałam tysiące mil, żeby uciec od chłopców z Turtle Creek, a w końcu siedzę przy stole z najgorszym egzemplarzem w naszej dziurze. Z Joshem Cortezem!

ROZDZIAŁ 3

Ze zdumienia nie mogłam wykrztusić słowa, tylko wpatrywałam się w Josha przerażona i zaskoczona.

- Ależ mamy szczęście, że razem siedzimy prawda, Cooper? - spytał, a w jego czarnych oczach migotały iskierki rozbawienia, gdy obserwował moje zmieszanie. Oczywiście, że się cieszył, kretyń jeden!

- O tak - wymamrotałam biorąc białą, płócienną serwetkę i rozkładając ją na kolanach. - Takie szczęście, jak gdy cię trafi piorun w szczerym polu. A poza tym, jak już ci mówiłam tysiące razy, nie mam na imię Cooper, tylko Cassidy!

Zjawił się kelner z napojami. Ustawwszy przed każdym szklanki wziął ode mnie zamówienie i szybko odszedł.

Pani Cortez nasypała cukru do mrożonej herbaty i uśmiechnęła się do mojego ojca.

- Tak się cieszę, że wyznaczono nam ten sam stół, panie Cooper. To nasze pierwsze wakacje od czasu, gdy Josh i Amalia byli mali, i muszę przyznać, że ten statek trochę mnie onieśmiela. Dzięki temu, że jem posiłki z ludźmi z rodzinnej miejscowości, czuję się bliżej domu.

- Zgadza się z panią - przyznał tato serdecznie. Ja też tak sądziłam, ale wręcz odwrotnie niż oni, wcale mnie to nie cieszyło.

Gdy rodzice Josha i mój ojciec wdali się w zdawkową

wymianę uprzejmości, przyjrzałam się im uważnie. Pani Cortez była drobna, o uroczej twarzy, oliwkowej cerze i gęstych włosach zaplecionych w warkocz upięty w kok. Bardzo się różniła od wysokiego, jasnowłosego męża. Josh odziedziczył karnację i włosy po matce, ale szerokie bary po ojcu. Niektóre dziewczęta w szkole w Turtle Creek uważały go za przystojnego, bo miał gęste, ciemne włosy i czarne, ocienione długimi rzęsami oczy, ale ja się z nimi nie zgadzałam. Amalia, chyba siedmiolatka, była śliczną dziewczynką; przypominała matkę, lecz miała jasne włosy pana Corteza.

- Byłem parę razy w pańskiej drukarni. - Pan Cortez zwrócił się do mojego ojca. - I widziałem pana kilkakrotnie na sesjach rady miejskiej, ale nigdy nie rozmawialiśmy. Zabawne, w końcu poznamy się w czasie wycieczki na Karaiby. Cóż za zbieg okoliczności.

- Tak, rzeczywiście - przyznał ojciec. - Choć to pewnie dzięki agentowi z biura podróży. Wspomniał mi, że jeszcze jedna rodzina wybiera się tym statkiem.

- Czy zarezerwował pan wycieczkę za pośrednictwem „Wspaniałych Wakacji”? - zapytała pani Cortez.

- Tak, przecież to jedyne biuro w miasteczku - odparł ojciec.
- Podziękuję Jerry'emu Formanowi, szczególnie w imieniu mojej córki. Cieszę się, że Cassidy będzie miała towarzystwo kolegi.

Zacisnęłam zęby, żeby nie powiedzieć czegoś nieuprzejmego. Nie mam najmniejszego zamiaru marnować mojego romantycznego rejsu na spędzanie czasu z zupełnie nieromantycznym Joshem Błaznem.

Wtem odezwała się Amalia, która wierciła się na krześle w trakcie rozmowy dorosłych.

- Dlaczego dostałam tak dużo widelców, noży i łyżek?

- Każdy ze sztuców jest do innego dania - wyjaśniła łagodnie pani Cortez. - Masz cztery widelce: do przekąsek, sałatki, głównego dania i deseru.

Amalia w zdumieniu zmarszczyła brwi.

- Ale ja mam tylko dwie ręce. Czy powinnam trzymać po dwa widelce w każdej dłoni?

Wszyscy przy stole zachichotali, tylko ja się nie śmiałam. Oczywiście, Amalia była urocza, lecz większość znanych mi dzieci to hałaśliwe, robiące bałagan i wiecznie się czegoś domagające bachory. A najgorsze były bliźnięta byłej narzeczonej ojca. Raz tylko próbowałam się nimi zająć i było to tak okropne, że przyrzekłam sobie omijać wielkim łukiem szczeniaki poniżej dziesięciu lat. Ale uznałam, że być może będę musiała złamać tę zasadę, by zyskać szansę dowiedzenia się czegoś o Marcusie.

- Będziesz używać widelców po kolei. - Matka objęła Amalię. - To nasze wakacje i część przyjemności polega na tym że

jemy to, na co mamy ochotę.

- Wszystko? - Dziewczynka się rozjaśniła. - Cudo! Poproszę trzy gałki lodów czekoladowych, truskawki, tort czekoladowy i herbatniki z fistaszkami!

- Rany! - Josh czule potargał włosy siostry. - Łakomstwo odbiera ci resztki zdrowego rozsądku.

- Odkąd jesteś takim specjalistą od zdrowego rozsądku? - prychnęła. - Gdzie był twój, gdy w zeszłym tygodniu posmarowałeś klejem ołówek Brittany?

Rodzice Josha popatrzyli na niego ostro. Uśmiechnął się zażenowany.

- Bo ona zawsze pożycza ołówki, zeszyty i co tylko można, więc chciałem jej pomóc, żeby nie zgubiła akurat tego ołoweczka. Można powiedzieć, że tym razem na dobre się przykleiła do pracy domowej.

Pani Cortez zmarszczyła brwi.

- Synku, już rozmawialiśmy poważnie o twoich psotach.

- Przepraszam, mamó - powiedział, ale bez cienia skruchy.

- To Brittany powinieneś przeprosić - wtrąciłam.

- Może już to zrobiłem.

- Tak, bujać to my, ale nie nas. Zapominasz, że od pierwszej klasy podziwiam twoje kiepskie dowcipy.

- Kiepskie dowcipy? - Josh chwycił się za serce udając

wielce przejętego. - Cooper, głęboko mnie zraniłaś.

- Nie kuś, bo spróbuję - warknęłam.

- Widzę, że świetnie się znacie. - Tato popatrzył na nas z uśmiechem.

- Wolałbym znacznie lepiej - odparł Josh rzucając mi łobuzerskie spojrzenie.

- Wiecie, co dla mnie jest najlepsze? - wtrąciła Amalia; jej ciemne oczy aż lśniły podnieceniem. - Pływanie na takim wielkim, ogromnym statku! Chyba jesteśmy o tysiące mil od domu!

- A mnie się wydaje, że jesteśmy bardzo blisko. - Patrzyłam twardo na Josha. - Stanowczo za blisko.

- Możesz nas wyrwać z Turtle Creek, ale nie wyrwiesz Turtle Creek z nas. - Zaśmiał się. - Mamy je we krwi.

- W takim razie proszę o transfuzję.

- Ja nie. - Pokręcił przecząco głową. - Bez względu na to, co będę robił i gdzie pojedę, zawsze wrócę do naszej poczciwej miejsciny.

Wcale mnie nie zdziwiła jego opinia. Taki Josh Cortez na pewno uwielbiał mieszkanie w zabitej dechami dziurze. Nigdy nie zrozumie moich planów na przyszłość. Od lat przesiadywałam nad atlasami i książkami historycznymi wchłaniając informacje i upajając się widokami tych cudownych miejsc w dalekich krajach,

o których ciągle marzyłam. Kiedyś będę podróżowała po świecie i zostanę słynną autorką artykułów o nieznanym okolicach. Nie miałam pojęcia, o czym marzy Josh, i wcale nie chciałam się tego dowiedzieć.

Pojawił się kelner z zakąskami. Popijając napój z gwajawy, skupiłam myśli na najtrudniejszym problemie: jak przetrwam cały tydzień w towarzystwie Josha? W jego obecności zawsze wstępowało we mnie licho, a przecież chciałam być tutaj wyjątkowo sympatyczna. Może uda mi się przekonać tatę, żeby poprosił o zmianę stolika, albo moglibyśmy się przenieść do sali jadalnej Chardonnay. Im dalej od Josha, tym lepiej!

Chociaż włączałam się do rozmowy przy stole, do końca posiłku nie powiedziałam ani słowa do Josha. Jakoś udało mi się pochłonąć wszystkie dania, potem wyjaśniłam ojcu, że rezygnuję z deseru i jeszcze pozwiedzam statek. Pod takim pretekstem właściwie uciekłam z jadalni. Miałam jasny cel: znaleźć Marcusa.

Ale gdzie rozpocząć poszukiwania? Wedle planu zajęć, który zdobyła dla mnie Lanessa, ma teraz wolne, więc jest w dowolnym miejscu na jednym z ośmiu pokładów „Silhouette”. Postanowiłam wrócić na ten pokład, na którym go po raz pierwszy spotkałam. To miejsce wydawało mi się teraz bardzo romantyczne, chociaż skoro brodzik już napełniono wodą morską, pewnie wrzeszczą w nim dzieciaki i panuje tam zupełnie inne szaleństwo niż to, które ja

miałam na myśli.

W parę minut później już wyszłam na pokład, który w duchu nazywałam pokładem Marcusa. Był zupełnie pusty. Wszystkie dzieci i ich rodzice, którzy jedli obiad w pierwszej turze, siedzieli przy deserach, a pasażerowie z drugiej tury przebierali się do posiłku. Zastanawiałam się, gdzie są pracownicy, i doszłam do wniosku, że pewnie w stołówce niedostępnej dla pasażerów. To znaczy, że dziś już na pewno nie znajdę Marcusa, może dopiero jutro?

Z westchnieniem podeszłam do balustrady i zapatrzyłam się na ocean. Słońce już się schowało i na niebie migotały gwiazdy, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł. Woda zdawała się niemal czarna. Za moimi plecami statek jarzył się światłami. Posłyszałam delikatne tony muzyki.

Statek wycieczkowy w nocy to wspaniałe miejsce dla par, pomyślałam ze smutkiem. Ale inni czują się bardzo samotni. Gdyby Marcus stał tu przy mnie...

Wtem posłyszałam za sobą kroki i serce podskoczyło mi w piersi. Czy zobaczę Marcusa, kiedy się odwrócę?

- Cassidy? - spytał ktoś półgłosem. Odwróciłam się i ujrzałam Josha.

Wszelka nadzieja umarła. Miałam gardło ściśnięte z bólu.

- Łazisz za mną, co? - spytałam ostro, a rozczarowanie

przerodziło się we wściekłość. Josh symbolizował wszystkie negatywne strony mojego życia, te rzeczy w Turtle Creek, od których tak bardzo chciałam uciec. On był uosobieniem tego grajdoła!

Podszedł do mnie. Nie rzucił jak zwykle kiepskiego dowcipu, ale odezwał się poważnie:

- Tak. Wydawało mi się, że potrzebujesz towarzystwa.

- No to się pomyliłeś! - rzuciłam twardo. - Jest urocza noc i upajałam się samotnością na pokładzie, aż ty przyszedłeś i wszystko popsuleś.

Miałam nadzieję, że zrozumie aluzję i pójdzie sobie, ale on oczywiście stał dalej.

- Masz rację. Urocza noc - przyznał opierając się o poręcz tuż obok mnie. - Gwiazdy świecą tak jasno jak w Turtle Creek. Właściwie to za nim tęsknię.

- A ja nie - warknęłam. - Wcale. Wręcz przeciwnie, mdli mnie na myśl o tej wiosce.

- Kpisz sobie! - W półmroku widziałam zdumienie na jego twarzy.

- Nie. Nigdy w życiu nie byłam bardziej poważna. Pierwszy raz zobaczę egzotyczne miejsca: Meksyk, Grand Cayman, Jamajkę. Nie chcę nawet myśleć o domu! - wybuchnęłam. - Nienawidzę etykietki: „dziewczyna z prowincji”. Chcę mieć

wakacje od głupiego, nudnego Turtle Creek i wszystkich ludzi stamtąd, a więc byłabym ci wdzięczna, gdybyś się ode mnie odczepił na cały rejs.

Josh wyprostował się i zmierzył mnie długim, twardym spojrzeniem. Najwyraźniej zrobiłam mu przykrość i go rozgniewałam. Nagle poczułam się nieswojo. Przecież nie chciałam, żeby mnie znienawidził, tylko żeby mnie zostawił w spokoju.

- Dobrze, załatwione - odparł chłodnym, opanowanym głosem. - Od tej chwili będę się trzymał od ciebie z daleka i dopilnuję, żeby moja głupia, nudna rodzina nie zwracała ci głowy.

- Poczekaj - zaprotestowałam. - Nigdy nie mówiłam...

- Nie musisz - przerwał mi. - Wiesz co, Cassidy, zawsze cię podziwiałem, już od pierwszej klasy. Może rzeczywiście za bardzo się z tobą droczyłem, ale to dlatego, że cię lubię. Myślałem, że jesteś mądra, śliczna i miła. Zdaje się, że wcale nie jesteś taka miła.

Mówiąc to odwrócił się na pięcie i odszedł, a ja stałam wpatrując się zdumiona w jego plecy. Mam, co chciałam. Josh obiecał, że zostawi mnie w spokoju. Więc dlaczego czułam się zawstydzona, a nie szczęśliwa?

Dopiero parę minut później zdałam sobie sprawę, że po raz

pierwszy w życiu Josh nazwał mnie Cassidy, a nie Cooper. I tak urwała się więź między nami polegająca na ciągłej walce.

Tej nocy spałam bardzo mało. Kładąc się chciałam zanurzyć się w romantyczne sny z Marcusem O'Roarkiem w roli głównej, ale zamiast tego dręczyła mnie obrażona twarz Josha i jego gniewne słowa. Przewracając się bezsennie z boku na bok powtarzałam sobie, że przecież nic mnie nie obchodzi, co o mnie myśli, ale mimo to czułam się dziwnie smutna i samotna.

Otworzywszy rano zapuchnięte oczy z trudem widziałam wskazówki na zegarku przy łóżku. Był kwadrans po dziesiątej, a śniadanie podawali o ósmej. Dlaczego tato mnie nie obudził?

Zwlokłam się z łóżka, opryskałam twarz wodą, umyłam zęby i szybko założyłam parę białych szortów i koszulkę w kolorze lawendowym. Próbowałam zadzwonić do taty, ale nikt nie odpowiadał. Wtedy zauważyłam kawałek papieru wsunięty pod drzwi. Podniosłam go i przeczytałam.

Mam nadzieję, że dobrze się wyśpisz. Sen jest dobry na urodę. Po śniadaniu będę na pokładzie sportowym grał w shuffleboard. Jeśli masz ochotę, to przyłącz się do mnie, albo baw się na własną rękę. Ucałowania

Tato.

Już dawno skończyli podawać śniadanie w jadalni i nie miałam ochoty na grę, więc postanowiłam iść za radą taty i

znaleźć sobie własne rozrywki. Zdecydowanie usunęłam z myśli wczorajsze spotkanie z Joshem i skupiłam uwagę na pewnym przystojnym, niebieskookim młodzieńcu o kasztanowych włosach. Marzyłam o spotkaniu Marcusa O'Roarka i dzięki planowi zajęć grupy dziecięcej dokładnie wiedziałam, gdzie go znaleźć. O jedenastej będzie organizował konkurs ping - ponga dla dzieci poniżej jedenastego roku życia.

Spędziłam parę minut układając włosy, smarując się kremem ochronnym, nakładając odrobinę cieni na powieki i szminki na usta. Potem wyszłam z kajuty. Wypiłam szklanekę soku pomarańczowego i zjadłam drożdżówkę w bufecie Pod Mewą, po czym ruszyłam do królestwa Marcusa - na pokład przystosowany dla dzieci.

Kiedy go zobaczyłam, aż zatrzymałam się w drzwiach, żeby złapać oddech. Wyglądał lepiej, niż w moich wspomnieniach. Zamiast spodni założył szorty, które odsłaniały opalone, muskularne nogi, a w tropikalnym słońcu jego włosy lśniły jak z czystego złota. Ruszam do boju o faceta ze snów! - pomyślałam.

A potem zauważyłam ponętą brunetkę, która pomagała Marcusowi uczyć gry w ping - ponga dużą grupę dzieci. Miała na sobie taką samą białą koszulkę i szorty jak on, więc uznałam, że to jego asystentka lub współpracownica. Zauważyłam także, że jest fantastycznie opalona, ma doskonałą figurę i olśniewający

uśmiech, co mnie od razu przygnębiło. Czy mając taką dziewczynę pod ręką Marcus w ogóle na mnie spojrzy?

Rozsądek podpowiadał, bym dała sobie spokój z Marcusem i przyłączyła się do taty na pokładzie sportowym, ale serce nakłaniało, bym została. Tak też zrobiłam. Kręciłam się w cieniu obserwując, jak Marcus i śliczna dziewczyna pracują z powierzonymi im dziećmi. Uśmiechali się do siebie i śmiali, jakby się doskonale bawili. Gdyby Marcus śmiał się do mnie, to też bym się doskonale bawiła! Choć byłam zrozpaczona i nieszczęśliwa, nie potrafiłam odejść.

Wtem zauważyłam jedno z dzieci w grupie Marcusa. Była to Amalia Cortez. Właśnie jej podał raketkę i delikatnie przerzucił piłeczkę nad siatką w jej stronę. Piłeczka minęła Amalię; dziewczynka zachichotała i popędziła za nią.

- Nic się nie martw, Amalio, mam całe worki piłeczek.

- Molly - poprawiła go Amalia szybko. - Tak na mnie mówią koleżanki w szkole i podoba mi się bardziej od mojego prawdziwego imienia.

- W takim razie niech będzie Molly. - Marcus uśmiechnął się do niej. I zwracając się do ślicznej brunetki, dodał: - Wario, może byś pomogła Molly? Zagram przeciwko wam dwóm.

- Z radością - odparła. Nie mogłam od razu określić jej akcentu, ale pomyślałam, że chyba jest Rosjanką.

I kiedy Waria trzymała raketkę razem z Amalią, dziewczynka spisywała się znacznie lepiej. Uderzyła piłeczkę tak mocno, że poleciała prosto na mnie. Bez zastanowienia wyskoczyłam z ukrycia i złapałam ją w locie.

- Cassidy! - pisnęła Amalia rzucając raketkę i biegnąc do mnie jak do najlepszej przyjaciółki.

- Eee... Cześć, Amalio - wykrztusiłam.

- Molly - przypomniała mi. - Brakowało mi ciebie przy śniadaniu. Gdzie byłaś?

- Zaspałam - odparłam.

Marcus podszedł ku nam i obdarzył mnie jednym ze swych olśniewających uśmiechów.

- Witaj, Cassidy. Tak się cieszę, że cię znów widzę. Jeżeli sprawdzasz, co się dzieje z Molly, to nie martw się, twoja siostrzyczka doskonale sobie radzi. Zanim się obejrzysz, zrobimy z niej mistrzynię ping - ponga.

- Och, nie... - zaczęłam, ale przerwałam w pół zdania. Skoro Marcus sądzi, że Amalia jest moją siostrą, będę miała doskonały pretekst do kręcenia się po dziecięcym pokładzie!

- Co mówiłaś? - zapytał.

- Mam nadzieję, że nie sprawia ci kłopotów - dokończyłam szybko. - Nie masz pojęcia, jaki z niej łobuziak.

- Co ty opowiadasz? - Amalia patrzyła na mnie zdumiona.

- Jeżeli zgodzisz się do końca rejsu udawać, że jesteś moją siostrą, zapłacę ci pięć dolców! - wyszeptałam z naciskiem pochyliwszy się nad nią.

- Dziesięć i załatwione - odpowiedziała cicho. Co za mała cwaniara!

- Dobrze, dycha - zgodziłam się. Kłótnia w takiej chwili kosztowałaby mnie znacznie więcej niż pieniądze.

Amalia zarzuciła mi ręce na szyję i głośno ucałowała.

- Rany, Cassidy, jesteś najlepszą starszą siostrą na całym świecie! - powiedziała głośno.

I tak oto nieoczekiwanie i ku swemu zdumieniu przestałam być jedynaczką.

ROZDZIAŁ 4

Amalia chwyciła mnie za rękę.

- Chodź, popatrz, jak gram w ping - ponga, Cassidy! - zawołała i podnosząc wzrok na Marcusa spytała: - Czy moja siostra może się przyglądać?

- Oczywiście - powiedział uśmiechając się do mnie ciepło. - Może zostać tak długo, jak tylko zechce.

Amalia pobiegła ciągnąc mnie za sobą jak najdalej od stołu do gry. Kiedy już nikt nas nie mógł usłyszeć, zerknęła na mnie przebiegle i odezwała się:

- A ja wiem, dlaczego chcesz, żebym udawała twoją siostrę. Podoba ci się Marcus, prawda?

Poczułam, że rumienię się po korzonki włosów. Nim zdołałam coś odpowiedzieć, Amalia wykrzyknęła radośnie:

- Zgadłam! Ale się nie martw, nikomu nie pisnę słówka, przyrzekam. Wspaniale umiem dochować tajemnicy, no, prawie zawsze. A teraz chodź popatrzeć, jak gram w ping - ponga.

Przez następną godzinę byłam w siódmym niebie. Gdy Amalia starała się zdobyć punkty w grze, ja starałam się zdobyć Marcusa. Ponieważ zgłosiło się wielu chętnych, więc zaproponowałam Marcusowi pomoc w organizowaniu zawodów. Był mi bardzo wdzięczny i choć dwoił się i troił, wyraźnie dawał do zrozumienia, jaką przyjemność sprawia mu moje towarzystwo.

Tylko Waria straciła dobry nastrój. Moja obecność wyraźnie działała jej na nerwy, ale nie zwracałam na to uwagi. Byłam z Marcusem, wysnionym chłopcem, i nic nie mogło zniszczyć mego szczęścia.

Godzina minęła jak z bicza strzelił. Kiedy Waria wręczała rozetki zwycięzcom w zawodach, Marcus wziął mnie na bok.

- Cassidy, byłaś absolutnie cudowna - powiedział. - Tak bardzo ci dziękuję za pomoc.

- Doskonale się bawiłam - odparłam z uśmiechem. - Ale się wspaniale dogadujesz z dziećmi. Już zaczęłam żałować, że jestem zbyt duża, by się dołączyć do grupy.

- Ja wcale nie żałuję. - Roześmiał się. - Jesteś wystrzałowa właśnie taka, jaka jesteś.

Popatrzył mi w oczy i miałam wrażenie, że zatonełam w jego błękitnych jak ocean źrenicach. Staliśmy bardzo blisko siebie. Już myślałam, że Marcus za moment mnie pocałuje, ale w tym momencie rozległo się wołanie:

- Hej! Cześć!

Odstąpiliśmy od siebie, bo oto na pokład wyszedł Josh Cortez ubrany w luźne spodnie w czerwone paski, luźną koszulkę o barwie dojrzałego pomidora, a na jego twarzy malował się ten szeroki uśmiech, który znienawidziłam już w pierwszej klasie. Choć było gorąco, zadrżałam ze strachu jak osika. On mnie na

pewno zdradzi!

Przywitał się miło z Marcusem, ale mnie, chociaż stałam obok, zupełnie zignorował.

- Czas na lunch, więc przyszedłem po siostrę - wyjaśnił.

- Którą? - spytał Marcus.

- Jak to? - spytał ze zdumienia unosząc brwi. Rany, zaraz szydło wyjdzie z worka. Za dychę wkupiłam się do rodziny Cortezów i za chwilę wyjdzie na jaw moje kłamstwo. Zawołałam więc szybko:

- Molly! Josh przyszedł!

Amalia zostawiła Warię i podeszła do brata wymachując jasnozieloną rozetką.

- Nigdy byś się nie spodziewał, Josh, że tak świetnie gram w ping - ponga. Zająłam piąte miejsce w zawodach.

- Rany! - Uśmiechnął się do niej. - Aż piąte! Dobrze się bawiłaś?

- Wspaniale, zwłaszcza że Cassidy do mnie przyszła. Dzięki niej tak wspaniale się grało.

Josh spojrzał wreszcie na mnie; z jego twarzy zniknął uśmiech i pojawił się pytający wyraz. Nie rozumiał zupełnie, co ja tu robię, a ja za skarby świata nie powiem mu prawdy.

Rzucając Amalii wymowne spojrzenie zaczęłam się powoli wycofywać.

- Chyba powinniśmy się przebrać przed lunchem - rzuciłam tonem wyjaśnienia. - Spotkamy się za parę minut przy stole, zgoda?

- Zgoda - odparła pogodnie. - Ale chyba o czymś zapomniałaś, Cassidy.

- Tak? O czym?

- O mojej nagrodzie - wyjaśniła Amalia wyciągając rękę.

- O czym?

- Wiesz dobrze. - Uśmiechnęła się szeroko. Wiedziałam.

- Pięć dolarów? - wymamrotałam szukając w kieszeni szortów.

- Dziesięć. Pamiętasz, powiedziałaś, że jestem tak dobra, że zasługuję na więcej.

Josh ze zdumienia niemal szeroko otworzył usta, patrząc, jak wyciągam dwa banknoty pięciodolarowe i podaję Amalii. Na szczęście nic nie powiedział. Chyba ze zdziwienia go замуrowało.

A ja już dłużej nie mogłam wytrzymać napięcia. Pomachałam tylko Marcusowi i rzuciłam:

- Muszę uciekać! Do zobaczenia!

- To masz jak w banku - odparł uśmiechając się do mnie promiennie.

- Może ktoś mnie oświeci, o co tu u licha chodzi?

- dopytywał się Josh, gdy Amalia chwyciła go za rękę i ciągnęła do wyjścia.

Wyprzedziłam ich i uciekłam niemal biegiem. Odetchnęłam z ulgą dopiero wtedy, gdy zamknęłam za sobą drzwi kajuty.

Ostatnią rzeczą, na jaką w tej chwili miałam ochotę, był lunch przy naszym stole w towarzystwie mojej „siostrzyczki”, Josha i jego rodziców, ale wiedziałam, że tato by się martwił, gdybym się nie pokazała. Próbowałam wymyślić jakiś pretekst i jednak uniknąć tej męki, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Sądząc, że to ojciec, zawołałam:

- Proszę!

Ale się pomyliłam. To był Josh.

- Cześć, siostrzyczko! - rzucił, a w oczach lśniły mu niebezpieczne błyski.

Dowiedział się! W rozpaczce próbowałam udawać idiotkę.

- Siostrzyczka? O czym ty...

Josh założył ręce na piersi i wbił we mnie twarde spojrzenie.

- Nie odstawiaj cyrku, Cassidy. Amalia wszystko mi powiedziała.

- Wszystko? - wykrztusiłam opierając się o szafę. Potaknął głową.

- Nie chciała, ale wyczułem, że coś dziwnego kryje się za „nagrodą”, którą jej dałaś, więc z niej wyciągnąłem prawdę. - Na

jego twarzy pojawił się szeroki, ironiczny uśmiech. - A więc witaj w naszej rodzinie.

- Zamknij się! - warknęłam, bo wstyd przerodził się w złość.

Josh usiadł na koi z wyrazem zranionej niewinności na twarzy.

- Ładnie tak mówić do swojego braciszka? Jęknęłam. To za wiele! Teraz rodzice Josha, mój ojciec i Marcus dowiedzą się o tym głupim kłamstwie i ze wstydu nie wyjdę z kabiny do końca rejsu. Równie dobrze mogłabym skoczyć za burtę!

- Dobrze, skłamałam. Na co czekasz? Zakuj mnie w dyby i wrzuć do lochu!

- Spokojnie, Cooper. - Josh z uśmiechem rozparł się na poduszkach. - Nie wsypię cię. Mimo że uważasz mnie za potwora, wcale nie jestem taki zły. A w konkurencji na głupie żarty pobiłaś mnie na głowę. Przyklejenie ołówka do czyjegoś palca to pryszcz w porównaniu z kupnem siostry!

- Nie wychłapiesz wszystkim? Josh pokręcił przecząco głową. Odetchnęłam z ulgą, ale ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że tak niesprawiedliwie oceniłam Josha. Okazał się facetem na poziomie.

- Dzięki - powiedziałam cicho. - Chyba powinnam ci wyjaśnić sytuację.

- Nie. Jak już wspomniałem, Molly wyklepała mi wszystko i

wiem, że latasz za tą angielską niańką w białych portkach. Nie przypuszczałem, że jest w twoim typie, ale co mi do tego? Nie moja sprawa. Nie wydam twojej mrocznej, groźnej tajemnicy. - Urwał na chwilę, po czym dodał: - Ale za moją pomoc coś mi się od ciebie należy.

- Co takiego? - Od razu nabrałam podejrzeń.

- To właściwie nie dla mnie, ale dla moich rodziców - wyjaśnił Josh. - Wpadli na kretyński pomysł, że byłaby z nas dobrana para.

- Para? Ty i ja? Mielibyśmy ze sobą chodzić? - wykrztusiłam z trudem. - Nigdy! Za żadne skarby!

- No, bez nerwów. Uspokój się i posłuchaj do końca. Nie proszę cię o rękę, tylko o parę chwil twego cennego czasu dziś wieczorem.

- To dziś jest powitalny bal kapitański? - Zmarszczyłam brwi.

- Tak. I chciałbym zatańczyć z tobą. Wyłącznie ze względu na rodziców. Tylko raz. - Pochylił się ku mnie. - Zrobisz to, Cooper - Scooper?

Sama się zdziwiłam, że odczułam taką ulgę, gdy Josh nazwał mnie znienawidzonym przezwiskiem. I już nie mierzył mnie twardym spojrzeniem, pod którym czułam się gorsza od padalca. Ucieszyłam się, że jednak mnie nie znienawidził, a poza tym mam wobec niego wielki dług wdzięczności.

- Tak, dobrze - powiedziałam. - Ale tylko raz.

Tego wieczoru w sali balowej Szampania lśniły kryształowe żyrandole i takim samym blaskiem migotały cekiny na sukniach. Oczywiście zostałam uprzedzona o powitalnym balu kapitańskim i na tę okazję kupiłam najbardziej elegancką sukienkę, jaką dysponował jedyny duży sklep w Turtle Creek: piękną kreację do ziemi z tkaniny w kolorze szmaragdowym. Ale nie była nazywana cekinami czy dżetami, więc gdy wchodziłam z tatą do sali, obawiałam się, że może się okazać nie dość strojna. Dobrze, że nie musiałam się martwić o wygląd taty. W wieczorowym stroju zaćmił wszystkich mężczyzn.

Gdy tato znalazł dla nas stół w pobliżu parkietu, natychmiast ruszyłam na poszukiwanie Lanessy. Nie spotkałam się z nią po południu i chciałam jej powiedzieć o moim najnowszym nabytku - odchowanej siostrze - żeby przez przypadek mnie nie zdradziła. Poza tym aż się rwałam, żeby jej się pochwalić, jak mi się cudownie układa z Marcusem.

Zauważyłam ją bez najmniejszego trudu. Siedziała ze starszą parą, zapewne ciotką i wujem, i rzucała się w oczy dzięki fantazyjnemu strojowi. Lanessa też mnie zauważyła i powiedziawszy coś do ciotki, wstała i ruszyła przez tłum do mnie.

- Rany! Wyglądasz wspaniale! - zawołałam podziwiając powiewną suknię w wielobarwny wzór, wielkie, złote koła w

uszach i bransoletki ze złota i hebanu.

- Ty również - powiedziała Lanessa. - W tym kolorze jest ci bardzo do twarzy.

- Dzięki. - Uśmiechnęłam się do niej. - Co się z tobą działo? Czy ten chłopak z kucykiem dobrze się całuje?

- Och, zrezygnowałam z niego, bo pojawił się ktoś lepszy - rzuciła lekko.

- Jak ma na imię?

- Avery... A może Austin?

- Naprawdę nie wiesz?

- Też by ci się myliło, gdybyś poznała bliźniaki - wyjaśniła pogodnie. - Jednak wydaje mi się, że dziś całowałam się z Averym. Austina zostawiam sobie na jutro.

- Bliźniaki? - Prychnęłam śmiechem. - Lanesso, tym razem przesadziłaś!

- Och, przecież pamiętasz, co mówią o bliźniakach? Podwójna przyjemność i dwa razy tyle zabawy. A co u ciebie? Jak idzie z angielską niańką?

- Nie uwierzysz, ale... - zaczęłam i jednym tchem opowiedziałam jej, jak przekupiłam małą dziewczynkę, żeby udawała moją siostrę.

Kiedy skończyłam, Lanessa pękała ze śmiechu.

- I to podobno ja przesadzam! Cass, jesteś niemożliwa! Jak ci

idzie tropienie go z planem zajęć grupy najmłodszych w dłoni?

Już otworzyłam usta, żeby jej opowiedzieć o wspaniałym ranku spędzonym z Marcusem, gdy zauważyłam dwie przytulone postacie sunące po parkiecie.

- O, nie - jęknęłam. - Marcus i Waria!

- Kto to jest Waria? - zapytała zdumiona Lanessa.

- Widzisz tę śliczną dziewczynę w sukni naszywanej czerwonymi cekinami? - wyszeptałam. - Tańczy teraz z Marcusem. Razem z nim opiekuje się grupą maluchów.

- A więc to jest Marcus? - Lanessa przyjrzała mu się uważnie. - Masz rację. Robi piorunujące wrażenie. I ta jego panienka w czerwonym również. Czyli praktycznie nie masz u niego szans?

- Chyba nie. - Westchnęłam. - Dziś rano myślałam, że mu się podobam, ale widać się pomyliłam. Powinnam była się domyślić, że woli doświadczone, obyte w świecie dziewczyny, takie jak Waria.

- W takim razie to lalusz! - stwierdziła ostro Lanessa. - Zapomnij o nim, Cassidy. Umówię cię z Austinem... A może z Averym?

- Dzięki, ale nie skorzystam - odparłam smutno. I oderwawszy wzrok od tańczącej pary ujęłam Lanessę za rękę. - Nie mogę dłużej na nich patrzeć. Chodź, przedstawię cię mojemu

ojcu. Ale błagam, ani słówka o tym, co ci powiedziałam, dobrze?

- Nie pisnę, obiecuję.

Przeciskając się przez tłum eleganckich ludzi zaprowadziłam Lanessę do naszego stolika. Ku memu rozczarowaniu tato nie był sam. Przyłączyli się do niego państwo Cortez z Joshem i Amalią. Tak się złożyło, że nie powiedziałam Lanessie imienia mojej „siostrzyczki” i teraz się z tego nawet ucieszyłam. Postanowiłam, że przedstawię ich jako znajomych z rodzinnej miejscowości.

Bogu dzięki wszyscy, nawet Josh, byli elegancko ubrani. Podobnie jak mój ojciec i pan Cortez, założył smoking i nie przypominał kmiota. Pani Cortez miała na sobie wydekoltowaną suknię w kwiaty, a Amalia wyglądała słodko w błękitnej sukience z falbankami; we włosy miała wpięte kokardy w tym samym kolorze. Gdyby rzeczywiście była moją siostrą, z dumą bym się nią popisowała.

- Cassidy! - zawołała radośnie na mój widok. - Chodź, usiądź koło mnie! Zatrzymałam tu dla ciebie krzesło!

- To poszukaj i drugiego. - Zmusiłam się do uśmiechu. - Bo przyprowadziłam ze sobą koleżankę.

Po dokonaniu prezentacji i przedstawieniu sobie wszystkich osób usiadłam na pustym krześle między rodzeństwem, a Lanessa zajęła miejsce po drugiej stronie Josha. Zauważyłam, jak uwodzicielsko trzepocze długimi rzesami, gdy pochyliła się

mówiąc coś do niego i przez moment zastanawiałam się, czy przypadkiem nie bierze go pod uwagę jako ofiary na dzień czwarty.

Gdy tylko zajęliśmy miejsca, światła przygasły i orkiestra przestała grać. Zapaliły się reflektory oświetlając scenę na końcu sali. Stał tam kapitan „Silhouette”. Powitał nas uroczyście i przedstawił załogę. Nazwiska i twarze natychmiast mi się dokładnie pomieszały, tylko dwie twarze widziałam z przeraźliwą, bolesną dokładnością: Marcus O'Roark i Waria Iwaszczenko, opiekunowie grupy najmłodszych dzieci.

Razem z innymi biłam brawo, gdy kapitan i załoga schodzili ze sceny. Mocniej zapłonęły żarówki w żyrandolach, orkiestra zaczęła grać i znów potoczyły się rozmowy przy naszym stole. Ale tak głęboko pogrążyłam się w smutku, że nie słyszałam ani słowa; dopiero głos taty przebił się przez otaczającą mnie mgłę przygnębienia.

- Cassidy, Josh zadał ci pytanie. Nie odpowiesz mu?

- Co takiego? - Zamrugałam oczami.

- Zapytałem, czy ze mną zatańczysz? - powtórzył Josh. - I jak, Cooper?

- No, kochanie, chcę, żebyś się dobrze bawiła. - Tato zachęcał mnie z uśmiechem. Państwo Cortez też patrzyli na nas rozpromienieni i wiedziałam, że tylko im swatanie w głowie.

Zabawa? Zero szans! A jeśli zobaczy nas Marcus, to czy nie uzna za dziwne, że tańczę z bratem? Ale skoro jest z Warią, to najpewniej w ogóle mnie nie zauważy. Przypomniawszy sobie obietnicę daną Joshowi, powiedziała sztywno:

- Zgoda.

Gdy wstawaliśmy z miejsc, Lanessa też się podniosła.

- Świetny pomysł. Pójdę poszukać Avery'ego albo Austina.

Miło było państwa poznać. To na razie, Cass.

Kiedy odchodziliśmy, Amalia zaczęła się kręcić na krześle.

- Ja też chcę tańczyć!

- Zostawię dla ciebie jeden taniec, mała - rzucił Josh pociągając ją za kokardę.

Wziął mnie za rękę i poprowadził na parkiet. Zaczęliśmy się kołysać w rytm przyjemnej melodii.

- Naprawdę zatańczysz z Amalią? - spytałam. - Wydawało mi się, że starsi bracia zawsze się kłócą z młodszymi siostrami.

- Och, to się nam zdarza. - Uśmiechnął się szeroko. - Mało jej nie zamordowałem, gdy założyła jednemu z naszych świniaków mój ukochany podkoszulek. Powiedziała, że go „przebierała”! Ale się zemściłem wkładając jej plastikowe wymioty do torebki z drugim śniadaniem. Rany, ale była wściekła!

- Mogę sobie łatwo wyobrazić - rzuciłam sucho. - Dziwię się, że to ona ciebie nie zamordowała.

- Szybko doszła do siebie. Prawdę mówiąc, bardzo się lubimy, jak i cała rodzina.

- To widać - stwierdziłam z uśmiechem.

- Ty i twój tata też jesteście sobie bliscy, prawda?

- Tak, zwłaszcza od śmierci mamy. Ale nasz dom czasem się wydaje... Sama nie wiem... taki pusty. - I po co ja mu to mówię? Co go to obchodzi? - Lepiej nie rozmawiajmy na smutne tematy, dobrze?

- Oczywiście, skoro tak wolisz. Wiem, jak to jest. Czyżby Josh też stracił kogoś bliskiego? Nie mogłam w to jakoś uwierzyć.

Orkiestra grała teraz wolniejszą melodię i Josh objął mnie w pół przytulając trochę za blisko jak na mój gust.

- Nieźle tańczysz jak na chłopaka z farmy - rzuciłam lekko.

- Nie z farmy. Z rancza - poprawił mnie. - Mamy pięćdziesiąt siedem akrów, wspaniałe stado świń i bydła, a także najlepsze wierzchowce w całym Turtle Creek. Szaleję na punkcie koni. Dzięki dziadkowi całkiem nieźle radzę sobie z żelazem.

- Z żelazem? Ale po co?

- Bo jestem kowalem, no wiesz, przybijam koniom podkowy. Dziadek był najlepszy.

Był? - pomyślałam. Czyżby Josh właśnie dziadka kochał i utracił?

- Też kiedyś będę najlepszy - ciągnął. - Już dawno

postanowiłem, kim zostanę w przyszłości. Stajnie wyścigowe i hodowcy rasowych wierzchowców zabijają się o dobrych kowali.

- A co ze studiami?

- Moi starzy z chęcią by mnie wysłali, ale ja nie chcę. Niby dobrze się uczę, ale nikt nie wymaga dyplomu od kowala.

- Każdemu potrzebne jest wykształcenie - protestowałam. - Rodzice zaraz po moim urodzeniu założyli dla mnie fundusz stypendialny. Już zaczęłam zbierać informacje o różnych szkołach.

- Fantazja. - Josh wzruszył ramionami. - Kiedy będziesz siedziała zakopana w książkach, ja będę jeździł po całym kraju od stajni do stajni. I kto będzie się lepiej bawił?

Odsunęłam się od niego.

- O ile wiem, zabawa nie jest najważniejszą rzeczą na świecie!

- I znów się na mnie złościysz. - Josh westchnął.

- Oczywiście, że tak - prychnęłam. - Przecież zamykasz przed sobą przyszłość!

- O, cóż za zmiana. - Zaśmiał się. - Skoro troszczysz się o moją przyszłość, to widać troszczysz się i o mnie.

- Nigdy w życiu!

Wściekła, już miałam odejść, gdy ktoś postukał Josha w ramię i powiedział z rozkosznym, angielskim akcentem:

- To co, stary druhu, czy mógłbym poprosić twoją siostrę do następnego tańca?

ROZDZIAŁ 5

Zamarłam w pół ruchu, a w moim sercu strach mieszał się z radością.

Josh obiecał, że dochowa tajemnicy, ale co będzie, jeśli zmieni zdanie?

Ku mej nieopisanej uldze rzucił tylko lekko:

- Nie ma sprawy. - I patrząc na mnie z łobuzerskim uśmiechem, dodał: - Właściwie robisz mi przysługę. Tańczyłem z siostrą tylko po to, żeby nie podpierała ścian.

Wdzięczność rozplynęła się w okamgnieniu. Podpierać ścianę! Ten to ma pomysły!

Uśmiechnięty Marcus ujął mnie za rękę.

- Nie sądzę, żeby akurat jej to groziło. Cassidy to bardzo ładna dziewczyna.

Z niecierpliwością czekałam, aż Josh nas zostawi, ale jemu się nie śpieszyło.

- Cieszę się, że tak sądzisz - zwrócił się do Marcusa. - Rodzice naprawdę martwią się o Cassidy. Baliśmy się, że nigdy nie dojdzie do siebie po tym wypadku z suszarką do włosów. Porażenie prądem i to jakie! Na szczęście włosy jej odrosły i operacja plastyczna udała się doskonale, w ogóle nie widać blizn.

Aż się zagotowałam ze złości.

- Josh! - wykrztusiłam z trudem. - Idź sobie! Oczywiście ani

drgnął. Za dobrze się bawił moim kosztem. Pogroził mi palcem.

- Pamiętaj, co ci mówili rodzice. Próbuj nad sobą panować.

Założę się, że znów zapomniałaś wziąć lekarstwo, prawda?

- Bierzesz leki? - Marcus zerknął na mnie niepewnie.

- Nie! - prawie krzyknęłam.

Gdyby wzrok mógł zabijać, Josh Cortez padłby trupem na miejscu.

- Skoro tak twierdzisz, siostrzyczko - rzucił łagodnie i szepnął do Marcusa: - Lepiej się jej nie sprzeciwiać. I uważaj na jej napady złości. Rozdaje bardzo mocne ciosy.

- Jeśli w tej chwili się stąd nie zmyjesz, to przekonasz się, jak mocne są moje ciosy - wykrztusiłam przez zaciśnięte zęby.

Josh tylko się roześmiał, odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Przepraszam za ten cyrk. Josh lubi się drażnić - powiedziałam do Marcusa. Policzki mi płonęły. - Nie wierz ani jednemu jego słowu.

- Domyśliłem się - odparł z uśmiechem. - Mam takich braci w domu. Może zatańczymy?

Podeksycytowana wtuliłam się w jego ramiona. Orkiestra grała gorące karaibskie rytmy i naśladowując ruchy Marcusa czułam się w siódmym niebie. Jednak jego kolejna uwaga sprowadziła mnie z łoskotem na ziemię.

- Chciałbym cię o coś zapytać, Cassidy. Chyba jesteś w tym

samym wieku, co twój brat, ale zupełnie nie wyglądacie na bliźnięta. Wcale nie jesteście do siebie podobni.

Przerażona usiłowałam bardzo szybko coś wymyślić.

- To dlatego, że Josh jest moim bratem przyrodnim, to znaczy... Przypomina naszą macochę, a ja i Amalia jesteśmy podobne do naszego ojca. Dlatego on jest taki ciemny, a my jasne - mówiłam gorączkowo. Czy Marcus da się na to nabrać?

Najwyraźniej go przekonałam, bo już więcej o nic nie pytał. Tylko przytulił mnie mocniej i znów znalazłam się pośród niebiańskich sfer. Kiedy melodia się skończyła, niechętnie się od niego odsunęłam, a Marcus dalej trzymał moją dłoń.

- Świetnie było - powiedziałam cicho patrząc mu w oczy.

- Wystrzałowu - zgodził się.

- Tak wystrzałowu jak z Warią? - walnęłam prosto z mostu.

Delikatnie pogładził mnie po policzku.

- Porównywanie jest w złym guście, tak przynajmniej piszą w poradnikach savoir vivre'u.

Orkiestra zaczęła grać balladę Cole Portera, a Marcus dodał:

- To jedna z moich ulubionych piosenek. Może spróbujemy jeszcze raz?

- Jasne. Co tylko chcesz - odparłam z uśmiechem.

- Wszystko? - Uniósł brew.

Ton jego głosu nagle mnie zaniepokoił. Był parę lat starszy,

ale doświadczenia miał za tuzin chłopców. Gdybym była tak piękna jak Waria, albo pewna siebie jak Lanessa, to bym wiedziała, co odpowiedzieć, ale teraz nie miałam bladego pojęcia.

Najwyraźniej Marcus nie oczekiwał odpowiedzi, bo tylko objął mnie w pól i zaczęliśmy wolno sunąć po parkiecie. W trakcie tańca mój niepokój się rozwiął niczym bańka mydlana. Marcus był wcieleniem wszystkich moich romantycznych snów i nic nie mogło zakłócić tych cudownych chwil.

Gdybym prowadziła pamiętnik, opis tego wspaniałego wieczoru wypełniłby wiele stron. Marcus zatańczył ze mną jeszcze trzy razy i już więcej nie poprosił Warii. Chociaż wiedziałam, że mu się podobam, zachował się jak prawdziwy dżentelmen i nie próbował mnie pocałować. Chyba zupełnie oszalałam, żeby choć przez chwilę się go obawiać. Tylko jedna rzecz sprawiła mi trudność: trzymanie Marcusa z dala od mojej „rodziny”. Sama nie wiem, jakim cudem mi się to udało. Zanim się pożegnaliśmy, Marcus poprosił, żebym przyszła z Amalią na lodowy bal dla dzieci, który się miał odbyć następnego wieczora. Nie tak sobie wyobrażałam randkę z nim, ale i tak nie mogłam się doczekać!

Z podnieceniem też wyglądałam wizyty w pierwszym porcie. Następnego ranka wstałam i ubrałam się jeszcze przed tatą. Obudziłam go pogodną rozmową telefoniczną i po szybkim

śniadaniu w bufecie Pod Mewą wsiedliśmy na łódź zwaną tender. Znalazło się tam wielu pasażerów, również rodzina Cortezów, którzy zgłosili się na wycieczkę do ruin Majów. Tender zawiózł nas do Playa del Carmen, gdzie wszyscy stłoczyliśmy się w autobusie do Tulum w Meksyku.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, pan Cortez, miłośnik historii, opowiedział nam bardzo obrazowo o pradawnych obrzędach Majów. Aż mnie zemdlilo, gdy opisywał ofiary z ludzi, więc odeszłam, by samej zwiedzać ruiny. Taki przynajmniej miałam plan, ale gdziekolwiek się ruszyłam, trafiałam na Josha.

Wreszcie miałam tego dość. Byliśmy właśnie na plaży. Minąwszy stos kamieni ruszyłam prosto na niego.

- Dlaczego za mną łazisz? - spytałam ostro.

- Ja? Też coś. - Przybrał minę niewiniątka. - Tylko trzymam cię na oku. Nie chcę, żeby moja najnowsza siostra spadła ze skały czy przydarzyło się jej inne nieszczęście.

- Siostra przyrodnia - poprawiłam szybko. - Tak odpowiedziałam wczoraj Marcusowi, kiedy spytał, dlaczego nie jesteśmy do siebie podobni.

- A więc ta angielska niańka to zauważyła? Zdumiewające. Czyli nie jest taki głupi, na jakiego wygląda.

- Marcus nie jest głupi! - warknęłam. - I daruj sobie te kpinki.

- Spróbuję. - Wzruszył ramionami. - Ale ja się tak długo z

tobą starałem, Cooper.

- O co? Doprowadzić mnie do szafu?

Nie odpowiedział, tylko oparł się o skałę i zapatrzył na wody oświetlone promieniami słońca. Ciekawe, o czym myślał?

- Dziadek kochał ocean - powiedział wreszcie, jakby mówił do siebie. - Powtarzał, że jeśli nadstawić ucha, to można usłyszeć, jak fale szepczą tajemnice natury.

Zaskoczył mnie i odezwałam się, nim zdążyłam pomyśleć:

- Jakie to piękne stwierdzenie.

- Dziadek był wspaniałym staruszkiem. - Josh z trudem przełknął ślinę. - Umarł jedenaście miesięcy i cztery dni temu. Rany, jak ja za nim tęsknię! Jak mi go brakuje!

Gorące łzy wypełniły mi oczy.

- Też tęsknię za mamą - powiedziałam cicho. - Ten rejs to było jej marzenie. Ich wspólne: jej i taty.

Josh wepchnął ręce w kieszenie dżinsów.

- Dziadek też o nim marzył. Załatwił wszystko tuż przed śmiercią. Chciał, żebyśmy na oceanie, który tak bardzo kochał, uczcili jego życie.

- Uczcili jego życie - powtórzyłam jak echo. - Jaki to wspaniały sposób wspominania najbliższej osoby...

Przez chwilę milczeliśmy oboje. Potem Josh się wyprostował. Przeciągnął dłonią po potarganych wiatrem

włosach.

- Chyba powinniśmy wracać - rzucił. Kiwnęłam głową.

- Jasne, bo autobus odjedzie bez nas. Nie starczy mi siły, żeby dobiegnąć do Tulum - powiedziałam próbując nieporadnie żartować.

- Nie martw się o to, Cooper. - Josh uśmiechnął się. - Mnie starczy siły za nas dwoje.

Na widok tak dobrze znanego, śmiałego uśmiechu, poprawił mi się nastrój.

- Strasznie jesteś pewny siebie, Cortez - zażartowałam.

- Nie zawsze - dodał nagle poważniejąc. - Ale ty zawsze możesz być pewna jednej rzeczy. Skoro to tyle dla ciebie znaczy, to będę grał rolę brata, no, tego przyrodniego brata. Możesz na mnie liczyć.

Pod wpływem impulsu ujęłam go za rękę.

- Wiem o tym, Josh. Dzięki.

Uścisnął moje palce, a potem puścił dłoń.

- Nie ma sprawy. Przecież tacy są właśnie bracia przyrodni, prawda?

Gdy schodziliśmy z plaży, zatrzymałam się na szczycie porośniętego trawą wzgórza, żeby popatrzeć na ocean. Fale uderzały o piasek szepcząc swoje tajemnice. Szkoda, że ich nie mogłam zrozumieć.

Francuska rozkosz orzechowa, lody miętowe z okruchami czekolady, tęczy sorbet, potrójna kawowa piramida, pistacjowe z białą czekoladą: wszystkie smaki lodów były równie apetyczne, a najwspanialszy był kasztanowowłosy lodziarz.

- Chcesz mi pomóc nakarmić rzeszę? - spytał Marcus z łyżką w dłoni. Byliśmy w sali zabaw. Otaczała nas grupa dzieciaków w wieku od siedmiu do dziesięciu lat.

Spojrzałam na Warię - chowała kompozycje z muszelek zrobione wcześniej przez dzieci. Przecież to ona powinna pomagać Marcusowi.

- Hmm, tak - wykrztusiłam. - Tylko powiedz, co robić.

- Może byś tak przyniosła salaterki i łyżeczki? Są na dolnej półce w szafce.

Poszłam poszukać próbując ignorować mordercze spojrzenie Warii.

- Chcę sorbet! - krzyczał chłopczyk.

- Pistacjowe! - domagał się inny. Podeszła do mnie Amalia.

- Poproszę to samo, co ty będziesz jadła, Cassidy - powiedziała.

- Ale nie wiesz, który smak wybiorę. - Zaśmiałam się.

- Nieważne. Lubię to, co ty. Tak bardzo bym chciała być do ciebie podobna. - Zapatrzyła się na mnie błyszczącymi oczami i zauważyłam, że uczesana jest w taki sam koński ogon, jak mój.

- Wspaniały plan. - Marcus mrugnął do niej porozumiewawczo. - Jeśli wyrośniesz na tak uroczą dziewczynę jak twoja siostra, zdobędziesz każde męskie serce.

Zarumieniłam się ze szczęścia. Marcus był tak inny, niż grubiańscy, hałaśliwi chłopcy z Turtle Creek! Josh okazał się w porządku, ale w porównaniu z wytwornym Marcusem sprawiał wrażenie nie oszlifowanego diamentu.

Dzieciaki zaczęły się kręcić i marudzić, zniecierpliwione, że Marcus jeszcze nie zaczął nakładać lodów.

- Pośpiesz się, Marcus! - wrzasnęła krągła, ruda dziewczynka.

- Tak, Marcus. Czyżbyś sobie nie radził? - zapytała Waria.

- Och, nie, kochanie. - Uśmiechnął się szeroko.

- No to bierz się do pracy - poleciała.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Marcus zaczął nakładać słodkości do podawanych przeze mnie salatek i gdy wszystkie dzieci, poza Amalią, dostały swoje porcje, poprosiłam o lody kawowe. Amalia wzięła takie same. Usiadłyśmy przy stoliku i wkrótce przyłączył się do nas Marcus z porcją francuskiej rozkoszy orzechowej.

- Jutro jest zabawa w poszukiwanie skarbów - Amalia zwróciła się do mnie. - Czy przyjdiesz ze mną, Cassidy?

- Świetny pomysł - odparłam i nieśmiało zerknęłam na

Marcusa. - Czy jestem zaproszona?

- Oczywiście. Z radością. - Ciepło w jego głosie mogło roztopić moje lody.

Ale gdy pojawiła się obok nas Waria, poczułam się jak na biegunie północnym.

- Nie chcę ci psuć uroczych chwil, Marcus, ale Jennifer cię potrzebuje - powiedziała. - Jak widzę, uwielbiają cię małe dziewczynki. - Zimne spojrzenie, którym mnie zmierzyła, znaczyło, że i mnie zalicza do tej kategorii.

- No to muszę się pośpieszyć. - Marcus wstał z uśmiechem. - Wracam za minutkę.

- Mogę z tobą pójść? - spytała Amalia. - Już zjadłam lody.

- Jasne. - Marcus ujął ją za rękę i gdy poszli, Waria usiadła obok mnie.

- Jesteś bardzo z siebie zadowolona - oświadczyła.

- O czym tym mówisz? - wykrztusiłam.

- Myślę, że świetnie wiesz. Mówiłam o Marcusie. - Waria dotknęła lekko mojej dłoni i ciągnęła łagodnie. - Cassidy, wyglądasz na miłą dziewczynę. Znam Marcusa od dawna i wierz mi, w jego przypadku pozory bardzo mylą.

- Może pozory mylą i w moim przypadku? - Uśmiechnęłam się słysząc to.

- Nic nie rozumiesz. - Westchnęła. - Jeżeli tak bardzo podoba

ci się Marcus, to obawiam się, że czeka cię dużo przykrości.

- To tobie będzie przykro. - Nie ustępowałam. - Przyznaj się. Jesteś zazdrosna!

- Zazdrosna? O małolatę? - Waria pokręciła głową. - Nie, nie jestem o ciebie zazdrosna, Cassidy. Już od trzech lat łączy mnie z Marcusem szczególna więź i jestem przyzwyczajona do jego zagrań. Flirt jest dla Marcusa tylko grą. Kiedy rejs się skończy, Marcus nawet nie będzie pamiętał twojego imienia.

- To nieprawda! - zawołałam.

Waria wstała i zaczęła zbierać salaterki po lodach.

- Biedny dzieciak. Sama się przekonasz. Kiedy będziesz leczyła złamane serce, pamiętaj, że cię ostrzegałam.

I poszła do Marcusa stojącego w małej kuchni przy zlewie, a ja powtarzałam sobie, że Waria się rozzłościła, bo Marcus spędził ze mną tak wiele czasu na balu kapitańskim wczoraj wieczorem. Gdyby się nie bała, że Marcus zbyt mocno zainteresuje się moją osobą, to by się nie starała mnie pozbyć. Może Waria wcale nie była tak groźną konkurentką?

ROZDZIAŁ 6

W środę rano spotkałam się z Lanessą w barze kawowym na śniadaniu. Obie ubrałyśmy się w dżinsowe szorty, ale ja założyłam do nich luźną bluzkę bez rękawów w geometryczny wzór, natomiast Lanessa miała na sobie białą górę kończącą się nad pępkiem oraz indiańską opaskę wyszywaną piórami i koralikami, która podkreślała czerń jej lśniących włosów. Wyglądała absolutnie wystrzałowio, jak by to powiedział Marcus.

Gdy tylko usiadłyśmy przy stoliku, Lanessa natychmiast chciała poznać ostatnie wieści z frontu walki o Marcusa.

- Mów. Dobrze całuje? - spytała z ożywieniem.

- Nie wiem - przyznałam. - Jeszcze się nie całowaliśmy.

- Co takiego? - zawołała zdumiona. - Co się z tobą dzieje, dziewczyno? Ja się całowałam z trzema różnymi chłopakami, a ty z żadnym? Poważnie, Cass, weź się do roboty. Wiesz przecież, z każdym dniem bliżej do emerytury.

- Szkoda, że nie mogę szybciej dorosnąć - powiedziałam krzywiąc się na wspomnienie uwagi Warii o „małych dziewczynkach”. - Skończyłam dopiero szesnaście lat. Mam nadzieję, że Marcus nie uważa mnie za zbyt młodą dla siebie.

- Wyglądasz na co najmniej siedemnaście - zapewniła mnie Lanessa. - Wiek to nie sprawa metryki, tylko zachowania.

- Ale w porównaniu z Warią jestem małolată. Powiedziała mi

to wczoraj wieczorem i nawet ostrzegła, żebym się trzymała z daleka od niego. Sprawiała wrażenie, jakby chciała mojego dobra, ale moim zdaniem jest tylko zazdrosna.

- Wspaniale! - pisnęła Lanessa. - W takim razie robisz fantastyczne postępy!

- Mam nadzieję. Może Marcus rzeczywiście kiedyś chodził z Warią, ale teraz zainteresował się mną. Co jest cudowne, choć również trochę przerażające.

- Dlaczego?

Nie umiałam ubrać w słowa niepokoju, więc się zawahałam i widelcem przesuwając po talerzu kawałek omletu.

- No więc... - zaczęłam. - Marcus mi się ogromnie podoba, ale należy do wielkiego świata, a ja nie. I co się stanie po rejsie? Wrócę do domu w Kalifornii, a Marcus będzie żeglował po oceanach, do tego z Warią. Wczoraj wieczorem powiedziała, że zupełnie o mnie zapomni, gdy zniknę z jego życia.

- To zazdrość przez nią przemawia - oświadczyła pewnie Lanessa. - Jeżeli się naprawdę w tobie zakochał, to będzie pisał albo dzwonił. Kto wie? Może nawet cię odwiedzi? Oczywiście, najpierw będziesz musiała dyskretnie wykończyć swoją siostrzyczkę - dodała z uśmiechem. - Kiedy przyznasz mu się do tego małego oszustwa?

- Niedługo, ale na pewno nie dziś. O pierwszej Marcus

prowadzi zabawę w poszukiwanie skarbów i jestem zaproszona.

- Założę się, że wiem, jakiego skarbu ty będziesz szukała - żartowała Lanessa. - Pierwszego pocałunku z Marcusem. A ja tymczasem będę się szykowała do czwartego.

- Kim jest ten szczęściarz? - Prychnęłam śmiechem.

- Ma na imię Burt. O wpół do drugiej idziemy na pokaz rzeźb z lodu.

- Fascynujące. - Teraz ja zakpiłam. - Który ci się jak dotąd najbardziej podobał?

- Wszyscy. - Wzruszyła ramionami. - Ja tylko chcę wygrać zakład, nie szukam prawdziwego uczucia.

- I nie marzysz o spotkaniu kogoś wyjątkowego i wielkiej miłości?

- Za nic, a przynajmniej nie teraz. - Napiała się kawy. - Chcę zrobić karierę: aktorki, stylistki, może kobiety interesu, a miłość tylko wchodzi w paradę. Będę miała czas na uczucia najwcześniej po trzydziestce.

Kiedy skończyłyśmy śniadanie, Lanessa powiedziała:

- Mam ochotę się opalać. Może byś wskoczyła w kostium kąpielowy i spotkałybyśmy się na pokładzie Lido przy basenie? Naprawdę powinnaś wreszcie popracować nad opalenizną.

Następnych parę godzin spędziłyśmy wylegując się na słońcu, pływając w basenie i szukając kandydata dla Lanessy na

dzień piąty. Przy lunchu tato i rodzice Josha rozmawiali o propozycjach wycieczek na następny dzień, gdy mieliśmy odwiedzić Grand Cayman. Rodzina Cortezów wybrała autokarową wycieczkę po wyspie, my z tatą woleliśmy nurkowanie.

- Lepiej uważaj na Szczęki - Josh zwrócił się do mnie z uśmiechem.

- To był tylko mechaniczny rekin w głupim filmie - rzuciłam z pogardą. - Gdybyś spędzał mniej czasu w stajni, a więcej w czytelnicy, to byś wiedział, że większość rekinów jest niegroźna.

- Tylko radzę jak brat. - Wzruszył ramionami. Amalia prawie zakrztusiła się mlekiem, a tato popatrzył na nas ze zdziwieniem.

Rzuciwszy Amalii groźne spojrzenie, powiedziałam:

- Jest za piętnaście pierwsza. Czas już na nas, chyba się nie chcesz spóźnić na poszukiwanie skarbów?

- Och nie! - zawołała z radością, zeskakując z krzesła. - Poprosiłam Cassidy żeby ze mną szukała - wyjaśniła rodzicom. - Założę się, że wygramy pierwszą nagrodę: koszulki z logo naszego statku!

- Przynajmniej spróbujemy - Uśmiechnęłam się do niej. - A jeśli nawet nie wygramy, to samo szukanie będzie doskonałą zabawą. - I wzięwszy Amalię za rękę wybiegłam z jadalni.

W sali zabaw, którą wypełniały podekscytowane dzieci,

Waria rozdawała listę „skarbów”, które trzeba było znaleźć: czerwony balonik, żółtą serwetkę, kapelusz, pióro, fioletową plastikową szklanę, talię kart i gumkę do włosów. Zwyciężyła ta grupa, która wróci pierwsza przynosząc wszystkie wymienione przedmioty.

- Gdzie my to wszystko znajdziemy? - spytała Amalia szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- Nie mam bladego pojęcia - przyznałam. - Ale muszą być gdzieś na statku. Po prostu musimy się dobrze rozejrzeć.

Marcus podszedł do nas i uśmiechnął się w ten szczególny sposób, od którego zrobiło mi się ciepło na sercu.

- Cześć, Cassidy. Może byś mi dotrzywała towarzystwa, gdy dzieci będą przetrząsać statek?

- Z rozkoszą, ale obiecałam Molly, że jej pomogę wygrać.

- Doceniam twoją troskę o siostrę, miałem jednak nadzieję, że i my znajdziemy gdzieś nasz skarb, gdy maluchy będą się zajmowały dziecienną grą.

Ależ mnie kusił! Jedno spojrzenie na twarz Amalii powiedziało mi, że nie mogę jej zawieść.

- Przykro mi, Marcusie, ale nie mogę.

- No cóż. - Westchnął. - Może innym razem. No to bawcie się dobrze.

Nigdy nie będziemy pierwsze, Cassidy - jęczała Amalia, gdy

po czterdziestu pięciu minutach trzymała w dłoni papierową torebkę, a w niej czerwony balonik, plastikową szklanę, kapelusik, talię kart i gumkę. - Nadal brakuje nam żółtej serwetki i piórka!

Na serwetkę pewnie trafimy bez trudu, ale gdzie znaleźć pióro? Żadna z mew, które widziałam, nie zrzuciła upierzenia na pokład statku.

Stałyśmy w barze espresso, gdzie ludzie popijali kawę i podziwiali wspaniały widok. Nagle moją uwagę zwrócił kontuar.

- Patrz! - krzyknęłam. - Cały stos żółtych serwetek! Łap jedną, Molly!

Amalia posłusznie zrobiła, co kazałam. Teraz brakowało nam tylko pióra.

Wychodząc śpiesznie z baru minęłyśmy grupę ludzi, którzy obserwowali mężczyznę w czapce kucharskiej - wycinał rzeźbę w bloku lodu. Zauważyłam Lanessę stojącą koło chudego nastolatka w okularach i nagle wpadł mi do głowy pomysł.

- Poczekaj! - zwróciłam się do Amalii. - Zaraz wracam.

Podbiegłam do Lanessy, chwyciłam ją za rękę i odciągnęłam na bok.

- Potrzebuję piórko! Możesz mi dać jedno? Obronnym ruchem sięgnęła dłońmi do opaski.

- Po co ci?

- Bawimy się w poszukiwaczy skarbów. Nie mam czasu ci wyjaśniać, ale jesteś moją ostatnią deską ratunku.

- Jeśli ci to pomoże z Marcusem, to bardzo proszę. - Lanessa z uśmiechem wyciągnęła pióro z opaski i podała mi je. - Drobiazg.

- Dzięki! Zycie mi uratowałaś! - I zerknąwszy na chłopca obok, szepnęłam: - Coś kandydat na dzień czwarty nie przypomina twoich zwykłych zdobyczy. Też spojrzała na chudego nastolatka.

- On? - Przytaknęłam, a Lanessa zachichotała. - Pudło. W mojej dziesięciopunktowej skali z trudem dostał trzy i pół! A poza tym już rzuciłam Burta. Nowy kandydat na dzień czwarty poszedł po lemoniadę dla mnie, ale zaraz wróci. Jeżeli chcesz go zobaczyć, to chwilkę poczekaj.

- Nie mogę. Jeśli się nie pośpieszę, przegramy z Molly konkurs - rzuciłam odchodząc. - Potem cię znajdę.

- Dobrze. Będziemy przy basenie na pokładzie Lido! - zawołała za mną Lanessa.

- Wspaniale! - krzyknęła Amalia, gdy dałam jej pióro. - Teraz już na pewno wygrałyśmy.

- Jeśli wrócimy do sali zabaw przed wszystkimi - przypomniałam jej.

Pognałyśmy do sali i zdążyłyśmy moment przed następnymi grupami. Amalia podała Warrii torebkę i gdy ta sprawdzała, czy

mamy wszystkie „skarby”, rozglądałam się za Marcusem. Nie widziałam go nigdzie i zastanawiałam się, gdzie się podział.

- Wszystko jest - Waria zwróciła się do Amalii z ciepłym uśmiechem. - Gratulacje, Molly. Zdobyłaś pierwsze miejsce.

- Hura! - Amalia podskakiwała z radości, a potem objęła mnie ramionami wołając: - Cassidy też!

- Oczywiście, że Cassidy też - przyznała Waria sucho. Z półki zdjęła dwie koszulki w plastikowych torebkach i podała jedną dziewczynce. - To najmniejszy rozmiar, będzie na ciebie doskonale pasował. - Podając drugą mnie, dodała: - Największa, jaką mamy. To duży rozmiar dziecinny. Nie spodziewałam się nastoletnich zawodniczek.

- Na pewno będzie pasowała - oświadczyłam z całą godnością, na jaką mnie było stać.

I gdy Waria zaczęła przeglądać torebki wręczone przez pozostałe dzieci, żeby przyznać im kolejne nagrody, znów szukałam wzrokiem Marcusa, ale nigdzie go nie zobaczyłam. Skoro go nie ma w sali zabaw, to nic tu po mnie.

- Posłuchaj, Molly - zwróciłam się do Amalii, która jednym szarpnięciem otworzyła plastikowy worek i wciągała właśnie koszulkę. - Idę się spotkać z moją koleżanką Lanessą. Ty zostań tutaj i baw się z dziećmi.

Głowa Amalii pokazała się w dekolcie koszulki.

- Dobrze. Dzięki za pomoc, siostrzyczko. - Uśmiechnęła się szeroko. - Do zobaczenia przy obiedzie.

Wróciłam na pokład Lido i stając przy basenie rozglądałam się szukając Lanessy wśród opalonych na brąz wczasowiczów. Szybko dostrzegłam jej ogniście pomarańczowe bikini. Siedziała na ręczniku w barwach tęczy i śmiała się z czegoś, co właśnie powiedział chłopak z leżaka obok. Zaintrygowana, kim jest nowy pan na dzień czwarty, podeszłam bliżej.

Lanessa zauważyła mnie i pomachała mi ręką.

- Chodź do nas, Cassidy! - zawołała.

Nie widziałam twarzy chłopca, bo był odwrócony do mnie tyłem, ale po długich opalonych nogach i muskularnych ramionach uznałam, że spełnia jej wymagania.

W tym momencie odwrócił się do mnie i popatrzył ciemnymi, śmiejącymi się oczami.

Kolana ugięły się pode mną.

To był Josh Cortez!

Przez chwilę gapiłam się w niego z otwartymi ustami. Ale niby dlaczego byłam taka zdumiona? Przecież na balu Lanessa dała do zrozumienia, że Josh jej się podoba, a gdy chłopak wpadł jej w oko, to nie marnowała czasu na próżno. Zaś Josh był wolny jak ptak. Nie miałam do niego żadnych praw. Dlaczego więc było mi tak przykro, jakby zdradziło mnie dwoje moich przyjaciół?

Zmusiłam się do przejścia paru kroków do ręcznika Lanessy, ale nogi się pode mną tak trzęsły, że niezgrabnie opuściłam się na miejsce obok niej.

- Ależ niespodzianka - zdołałam wykrztusić ze sztucznym uśmiechem.

- Też tak sędzę. - Lanessa rozpromieniła się. - Tak ci dziękuję, Cass, za to, że nas poznałaś! Josh to wspaniały facet. Nawet go namówiłam, żeby jutro ze mną nurkował wokół Grand Cayman. Prawda, jak cudnie?

- O tak, ekstra - powiedziałam, mając nadzieję, że w moim głosie jest choć cień entuzjazmu. - Mam też nurkować z tatą.

- Będziemy niczym wielka, szczęśliwa rodzina - wtrącił Josh. I pochyliwszy się ku mnie dodał szeptem: - Prawda, siostruniu?

- Nie jestem twoją siostrą! - odpowiedziałam również szeptem.

Odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

- Przepraszam, ciągle o tym zapominam.

- O czym? - spytała Lanessa przenosząc wzrok z Josha na mnie.

- Nic takiego - odparł szybko. - Nie zawracaj sobie tym głowy.

- Nie będę, pod warunkiem, że nie zapomnisz o mnie. - I sięgnawszy uścisnęła jego dłoń.

- Niemożliwe. - Josh się uśmiechnął. - O tobie po prostu nie można zapomnieć, Lanesso.

Zachowywali się obrzydliwe! Wcale bym się nie dziwiła, gdyby nagle zaczęli śpiewać jakiś miłosny duet z opery! Jak to się mogło stać? Taka z nich para, jak kot i pies na jednym podwórku. I jedyna rzecz, która ich łączyła, to ja!

Josh wstał nie puszcżając dłoni Lanessy.

- Chodź popływać. Ten upał zaraz mnie zabije.

- Niezły pomysł - mruknełam pod nosem.

- Pływanie czy moja śmierć? - zażartował Josh.

- Wybór należy do ciebie. - Spojrzałam na niego twardo. -

Też się muszę ochłodzić. Idę się przebrać w kostium.

ROZDZIAŁ 7

W drodze do kajuty próbowałam zrozumieć, dlaczego byłam tak zła na Lanessę i Josha. Chociaż Josh zawsze się ze mną drażnił, to wczoraj na plaży zaskoczył mnie pokazując delikatną, wrażliwą stronę natury, której się u niego nie spodziewałam. Uznałam wtedy, że ma bardziej złożoną osobowość, niż to widać na pierwszy rzut oka. No cóż, pomyliłam się. Jeśli jest tak głupi, by złapać się na sztuczki Lanessy i zostać jej panem na dzień czwarty, to zasługuje na wszystko, co go spotka. Pocałuje ją, a ona go odrzuci jak śmieć i zacznie się rozglądać za panem numer pięć, tylko po to, by wygrać głupi zakład. Lanessa wykorzystuje chłopców do realizacji ukrytego celu nie przejmując się zupełnie ich uczuciami.

W tym momencie jej gierki całkiem przestały mi się podobać.

Postanowiłam nie wracać nad basen. Na pewno nie będą za mną tęsknić, spokojna głowa! Nagle zdałam sobie sprawę, że jak dotąd bardzo mało czasu spędziłam z tatą, postanowiłam to naprawić. Ale gdy zadzwoniłam do jego kajuty, nikt nie podnosił słuchawki. Skoro tato gdzieś poszedł, a Marcus zniknął, to pozostały mi dwa wyjścia: zostać w kajucie i uzalać się nad sobą albo wrócić nad basen do Lanessy i Josha.

Kiedy w parę minut później dotarłam na pokład Lido w

bikini i różowej, koronkowej pelerynce, która niewiele zakrywała, zobaczyłam dużą grupę młodzieży zebraną wokół sceny. Członek załogi trzymał mikrofon ogłaszając konkurs i zapraszając ochotników. Wszyscy gorączkowo wymachiwali rękami, prowadzący wskazał kilka osób, między nimi Josha i Lanessę. Przepychając się przez tłum ku scenie próbowałam zwrócić ich uwagę. Oni mnie nie widzieli, ale niestety dostrzegł mnie organizator rozrywki.

- Jeszcze jedna ochotniczka! Dziewczyna w różowym kostiumie! Prosimy na scenę!

Zatrzymałam się jak wryta.

- Och, nie! Nic pan nie rozumie! Ja tylko...

Nim zdołałam cokolwiek wyjaśnić, liczne ręce popchnęły mnie do przodu i już się znalazłam na scenie obok Lanessy, która uśmiechnęła się do mnie szeroko i mrugnęła porozumiewawczo. Rany, w co ja się wpakowałam?

- Czas walki na poduszki! - obwieścił prowadzący. - Zaczynamy rundę eliminacyjną panów!

Przypomniałam sobie, że w spisie rozrywek zauważyłam punkt: „walka na poduszki”, ale wtedy nim się nie zainteresowałam. Teraz patrzyłam na dziwaczne urządzenie stojące na środku sceny. Na czterech metalowych nogach umieszczono długą rurę przypominającą równoważnię i narzucono

na nią grubą niebieską matę. Do licha, do czego to służy?

Wkrótce się dowiedziałam. Dwaj zawodnicy: niechlujny nastolatek i wysportowany brodacz usiedli okrakiem na macie. Prowadzący dał im po jaśku i kazał przez cały czas trzymać jedną rękę za plecami. Zaczęła się walka.

Jaśki to niewygodna, śmieszna broń! Wszyscy widzowie śmiali się, gwizdali i wznosili okrzyki zachęty, gdy przez parę chwil chłopcy wymieniali ciosy. Wtem muskularny zamachnął się swoją poduszką tak mocno, że stracił równowagę i zleciał na ziemię.

Po nich miejsca zajęli Josh i rudy grubas. Josh uśmiechał się szeroko i wymachiwał do widzów niczym kowboj dosiadający rączego mustanga w czasie rodeo.

Prowadzący zawołał:

- Start!

I walka się rozpoczęła.

Grubasek bardzo się starał, ale długo nie wytrzymał, po paru celnych ciosach Josha zsunął się na ziemię. Zdziwiłam się, że czuję się tak dumna ze zwycięstwa Corteza. Skakałam nawet wyżej i krzyczałam głośniejszym głosem niż Lanessa.

Po dwóch następnych pojedynkach do walki stanęła czwórka półfinalistów. Josh i chudzielec szybko poradzili sobie z przeciwnikami i przystąpili do ostatniego pojedynku. Tym razem

potyczka toczyła się długie minuty. Chudy był dobry, ale z Joshem nie miał szans. Po dzielnych zmaganiach i on i poduszka stoczyły się na deski, a Josh został ogłoszony zwycięzcą.

Jak ja się ucieszyłam! Chciałam rzucić mu się na szyję, ale Lanessa była pierwsza. Na ten widok aż odskoczyłam. Przecież poznała go zaledwie wczoraj, a ja znałam Josha niemal przez całe życie. Oczywiście, wcale nie byłam zazdrosna, przecież to niemożliwe.

- Teraz kolej na dziewczęta! - zawołał prowadzący i serce zabiło mi mocniej. Nigdy nie uprawiałam na poważnie żadnej dyscypliny sportu i chociaż to tylko walka na poduszki, jednak byłam pewna, że zrobię z siebie idiotkę.

Osiem dziewcząt ustawiono w pary. Byłam zadowolona, że Lanessa nie jest moją przeciwniczką, póki nie zobaczyłam, z kim mam walczyć. Podnosiłam wzrok coraz wyżej i wyżej, nim wreszcie dotarłam do twarzy tej Amazonki, która musiała mieć przynajmniej z metr osiemdziesiąt! Sądząc po szerokim uśmiechu, z jakim patrzył na nią brodaty osiłek, uznałam, że to jego dziewczyna. Wspaniale, pomyślałam. Pojedynek Dawida z Goliatem to pryszcz wobec mojego starcia z tym gigantem!

Jak się należało spodziewać, miałam absolutnego pecha i wyznaczono nas do pierwszej rundy. Kiedy wdrapałam się na drąg i nerwowo chwyciłam jasek, usłyszałam okrzyk Josha.

- Dawaj, Cassidy! Wygrasz! Naprawdę? Szczerze w to wątpię. Prowadzący zawołał:

- Start!

I walka się zaczęła.

Amazonka zaatakowała uderzając z całą swoją, niemałą siłą. Kiedy starałam się wymierzyć pierwszy cios nie spadając z drąga, mocno zacisnęłam zęby. Wytrzymam, nawet gdyby mnie miała zabić, co wcale nie jest wykluczone.

Ale gdy uderzałyśmy się puchatą bronią, zdałam sobie sprawę, że ciosy wcale nie boją. Przypominały właściwie łaskotanie. Zaczęłam się śmiać.

Amazonce niemal szczeka opadła ze zdumienia i też się roześmiała. Korzystając z momentu rozproszonej uwagi grzmotnęłam ją w brzuch poduszką. Nadal chichotała padając na ziemię. Wygrałam!

Dwie następne pary odbyły pojedynki i po zakończonych eliminacjach do finału przeszłam ja i Lanessa. Josh podszedł i bardzo gorąco ucałował ją na szczęście. Mnie tylko poklepał po ramieniu i rzucił zwykły, irytujący uśmiezek. Gdybym w tym momencie miała w dłoniach jasiek, dostałby solidnie po głowie.

- Twój kolega Josh to niezła sztuka - oświadczyła Lanessa, gdy zajęłyśmy miejsca i wzięłyśmy jaśki. - Jak to się stało, że nigdy ze sobą nie chodziliście?

- Bo jest głąbem - wymamrotałam. - Nie trawię go i już.

- Twoja strata, a mój zysk - rzuciła pogodnie. - Dobrze, że się pojawiłam na horyzoncie. Umiem docenić dobry towar.

- Góra przez dwadzieścia cztery godziny! - warknęłam.

- To ci spać nie daje? - Lanessa zmarszczyła brwi.

Prowadzący zawołał:

- Start!

- Nic nie wiesz o Joshu! - Mówiąc to walnęłam Lanessę jaśkiem.

- A ty wiesz wszystko, co? - odpowiedziała ciosem.

- Dość, żeby wiedzieć, jak mu będzie przykro, gdy go rzucisz dla pana na dzień piąty. Tylko się nim pobawisz! - Wymierzyłam uderzenie w ramię.

Lanessa niemal straciła równowagę, ale jakoś się wyprostowała i uderzyła mnie w głowę.

- I co z tego? Odkąd to jesteś jego niańką?

- Nie jestem! Tylko nie chcę, żeby cierpiał. Walnęłam ją z całych sił i Lanessa się zachwiała, a potem osunęła na ziemię.

- A kto mówi o cierpieniu! - jęknęła rozcierając krzyż.

Uśmiechnęłam się do niej i uniosłam poduszkę w geście zwycięstwa.

- Blaski i cienie walki.

Wszyscy klaskali i wznosili okrzyki, gdy wręczano Joshowi i

mnie plastikowe kopie złotych pucharów. Wygrałam!

Lecz gdy zobaczyłam, jak Lanessa wiesza się na szyi Josha i składając gratulacje gorąco całuje go w usta, świetny nastrój diabli wzięli. Może i wygrałam potyczkę, ale przegrałam wojnę.

Kiedy Josh i Lanessa czcili jego zwycięstwo wskakując do basenu, ruszyłam na pokład dla dzieci. Porzucona, ignorowana i samotna marzyłam o męskim ramieniu, na którym mogłabym się wypłakać, najchętniej, rzecz jasna, na ramieniu Marcusa. Na pewno już skończył przedpołudniowe zajęcia. Jeżeli Waria zacznie się mnie czepiać, powiem jej, że przyszłam po Amalię.

Sprawdziłam w brodziku, lecz Amalii tam nie było. Nie zauważyłam w pobliżu Marcusa, więc poszłam do sali zabaw.

- Jeśli szukasz siostry, to jej tu nie znajdziesz - odezwała się Waria. - Twoja mama przyszła po Molly parę minut temu.

- Moja mama? - powtórzyłam jak echo. Waria potaknęła.

- Minęłyście się w drodze. Właściwie to zabawne, bo wcale nie jesteś do niej podobna.

Przypomniawszy sobie, co powiedziałam Marcusowi, rzuciłam szybko:

- Bo ona jest naszą macochą.

- Aha. - Ale Waria nie sprawiała wrażenia, jakby uwierzyła w moją historię, chociaż Marcus gładko ją przełknął. I kiedy nie wychodziłam, zapytała:

- Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Właściwie... - Zaczęłam ściskając kurczowo puchar. - Chciałabym porozmawiać z Marcusem. Mam mu coś do pokazania...

Jej oczy lśniły niebezpiecznie, gdy mierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Nie wątpię, choć moim zdaniem już to wszystko wcześniej widział. Przykro mi, Cassidy, ale jest zajęty.

- Nie tak znów bardzo zajęty, żebym nie znalazł chwili dla mojej wyjątkowej przyjaciółki. - Marcus akurat wszedł do pomieszczenia i uśmiechnął się do mnie. - Witaj, Cassidy. Stęskniłem się za tobą. - Po czym zwracając się do Warrii dodał: - Mogłabyś mnie zastąpić? Wrócę za chwilę.

Wziął mnie za rękę i wyprowadził z sali. Nie wiedziałam, gdzie idziemy i wcale mnie to nie obchodziło.

Gdy szliśmy korytarzem, mocniej uścisnął moją dłoń.

- Wyglądasz fantastycznie, Cassidy. Słyszałem, że świetnie ci dziś poszło.

- Skąd wiesz? - Zerknęłam na puchar. - Parę minut temu wygrałam zawody w walce na poduszki.

- Naprawdę? - Wybuchnął śmiechem. - Doskonale. Właściwie to mówiłem o zabawie w poszukiwanie skarbów. Dwie nagrody jednego dnia! Cóż za dziewczyna!

Też się roześmiałam.

- Chyba następnym razem przymierzę się do Nagrody Nobla - zażartowałam. Byłam wesoła i po raz pierwszy dzisiaj naprawdę szczęśliwa. To obecność Marcusa tak na mnie wpływała.

Minęliśmy zakręt korytarza i Marcus delikatnie popchnął mnie w małą niszę.

- Jesteś taka słodka, Cassidy - wyszeptał obejmując mnie ramionami. - Jakie miałem szczęście, że cię znalazłem.

Cała drżałam z podekscytowania. Nareszcie! Oto chwila, na którą tak czekałam!

- To ja mam szczęście - odpowiedziałam cicho tonąc spojrzeniem w jego źrenicach o barwie morza. - Szkoda, że ten rejs nie może trwać wiecznie.

Na jego ustach zagościł smutny uśmiech.

- Ja też żałuję, ale niestety, czas tak szybko płynie. Musimy cieszyć się każdą chwilą, którą mamy.

- Wiem. Lecz co będzie potem? Czy znów cię zobaczę?

Delikatnie pogładził mnie po policzku.

- Nie martwmy się o przyszłość. Teraz tyle możemy... - Urwał i wepchnął mnie głębiej do niszy bo obok korytarzem przechodziło dwóch stewardów.

- Dlaczego nie chcesz, żeby ktoś nas razem zobaczył? - spytałam rozdrażniona, gdy nas minęli.

- Moja słodka Cassidy. - Westchnął. - Na statku obowiązują zasady, które zabraniają pracownikom zakochiwania się w pasażerach.

Niemal upuściłam mój puchar.

- Zakochiwania się? Marcus, mówisz poważnie? Przytaknął.

- Nigdy nie spotkałem dziewczyny podobnej do ciebie. Mam ci tyle do powiedzenia...

Korytarzem szła duża, rozbawiona grupa ludzi.

- Ale to niewłaściwie miejsce i nieodpowiedni moment. Chcę cię mieć całą dla siebie. Pójdziemy tam, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Drżąc z ekscytacji wyszeptałam:

- Ja też tego pragnę.

- Będę wolny w piątek wieczorem. Czy możemy się spotkać przy brodziku?

- O tak! - zawołałam bez tchu. - Rano jedziemy do Ocho Rios, ale na pewno wrócę na czas.

- No to do piątku.

I Marcus rzuciwszy szybkie spojrzenie w głąb korytarza wysunął się z alkowy i odszedł wolnym krokiem.

ROZDZIAŁ 8

„Silhouette” weszła do portu nocą i gdy się obudziłam następnego dnia rano, dostrzegłam przez bulaj zachwycający widok: wyspę Grand Cayman. Widząc, że już nie mam czasu na śniadanie, szybko narzuciłam kostium kąpielowy, szorty i zieloną koszulę, a potem pobiegłam do kabiny taty i zapukałam do drzwi. Weszłam; widać był w łazience, bo pokój był pusty i szumiała płynąca z kranów woda.

Usłyszałam też coś jeszcze, czego nie słyszałam od śmierci mamy: tato na cały głos śpiewał pod prysznicem. Od razu się uśmiechnęłam. Widać jest mu bardzo dobrze na statku, skoro znów śpiewa. Usiadłam na krześle i czekałam, aż wyjdzie, pomrukując pod nosem do wtóru i myśląc o Marcusie.

Za każdym razem na wspomnienie jego wczorajszych słów przenikał mnie rozkoszny dreszcz. Marcus był taki świetny, przystojny i czarujący. Nawet w najśmielszych snach nie marzyłam o spotkaniu takiego chłopaka, a on na dodatek się we mnie zakochał! Cóż takiego we mnie zobaczył? Wyjątkowy mężczyzna, a ja przecież nie mam w sobie nic specjalnego, ot, zwykła Cassidy Cooper z Turtle Creek w Kalifornii.

Chociaż z niecierpliwością oczekiwałam dzisiejszej wyprawy podwodnej, to z jeszcze większą radością wyglądałam jutrzejszego wieczoru. Będzie tak romantycznie! Tonąc w blasku

księżycyca, będziemy z Marcusem trzymać się za ręce, szeptać słodkie słówka i wymieniać jeszcze słodsze pocałunki. Uznałam, że piątkowy wieczór to będzie również doskonały moment, by wyznać mu prawdę o Amalii. Zapewne go to rozbawi i miałam nadzieję, że schlebi jego próżności, gdy się dowie, że wynajęłam siostrzyczkę tylko po to, by się znaleźć bliżej niego.

Głośnie pukanie do drzwi kajuty wyrwało mnie z rozkosznych marzeń. Zastanawiając się, kto to może być, pośpieszyłam je otworzyć.

Na progu stała ładna, nieco krągła kobieta o krótkich, jasnych włosach. Była po czterdziestce, miała na sobie plażową sukienkę w kolorze lawendy i sandały. Na ramieniu niosła pękatą torbę z płótna drukowanego w truskawki i śliwki.

- A więc to ty jesteś Cassidy! - zawołała na mój widok i szeroko się uśmiechnęła.

Wpatrywałam się w nią zdumiona.

- Tak. A... czy ja panią znam?

- Właśnie mnie poznajesz. Nazywam się Regina Phillips. - Kobieta wyciągnęła dłoń i potrząsnęła moją z entuzjazmem.

- Czy szuka pani taty? - odważyłam się zapytać.

- Jeszcze jak! - odparła z gardłowym śmiechem i mijając mnie wkroczyła do pokoju. - Gdzie jest ten przystojniak?

Byłam tak zdumiona, że tylko stałam z szeroko otwartymi

ustami. W tej właśnie chwili tato wyszedł z łazienki. Miał jeszcze mokre włosy po prysznicu; ubrał się w granatowe spodnie i turkusową koszulkę polo. Uśmiechnął się serdecznie do blondynki.

- Regina! Jak punktualnie przyszłaś. Widzę, że już poznałaś moją córkę.

Co tu się u licha dzieje? Najwyraźniej tato oczekiwał tej całej Reginy i ze sposobu, w jaki na siebie patrzyli, uznałam, że znają się całkiem dobrze. Czyżby łączyło ich coś więcej, niż tylko przyjaźń? Tak się skupiałam na swoim życiu uczuciowym, że zapomniałam, że tato też jest wolny!

- Regina pochodzi z Eugene w Oregonie, tuż za granicą stanu, blisko Turtle Creek. Spotkaliśmy się parę dni temu przy grze w shuffleboard - wyjaśnił tato. - Namówiłem ją, żeby się przyłączyła do naszej podwodnej wyprawy. Chyba ci to nie przeszkadza, kochanie?

- Oczywiście, że nie - skłamałam uprzejmie, choć myślałam coś zupełnie innego. - W dużej grupie zawsze różniej.

Milczałam przez całe śniadanie, ale za to Reginie usta się nie zamykały, gdy opowiadała głównie o swoich dzieciach. Była wdową, jej dwie córki chodziły do college'u, syn już się ożenił. W takim razie musiała być sporo starsza od mojego ojca, ale ta różnica wieku najwyraźniej obojgu nie przeszkadzała. Tato już

dawno nie był tak szczęśliwy. Nie odrywał od Reginy zachwyconego spojrzenia.

- Już drugi raz będę na Grand Cayman - oświadczyła wrzucając bułkę do płóciennej torby. - Przyjechałam tu z moim nieżyjącym już mężem pięć lat temu i po prostu zakochaliśmy się w nurkowaniu. Dlatego biorę pieczywo.

- Chyba nie bardzo rozumiem... - Ojciec popatrzył na nią zdziwiony.

- Chleb dla ryb. Te urocze stworzonka podpłyną tuż do ciebie. Karmienie ich to doskonała zabawa. Są cudowne.

- Ale tobie nie dorównują - rzucił tato z galanterią, a Regina się zarumieniła i zachichotała jak uczennica.

Nie zauważyłam nic cudownego w sposobie, w jaki flirtowała z moim ojcem. Regina była pogodna i przyjaźnie nastawiona do całego świata i zwykle łatwo lubić takie osoby, ale mnie drażniła. Choć wiedziałam, że powinnam się cieszyć, że tato znalazł kogoś, kto mu się tak spodobał, nie umiałam się zmusić do życzliwych myśli. Tak nam było dobrze we dwoje z tatą. I niech nawet nie próbuje mi matkować tak, jak się do tego zabierała Cecily. Żadna kobieta na świecie nie zdoła zastąpić mojej mamy.

Zaraz po śniadaniu we troje zajęliśmy miejsca na pokładzie tendera płynącego na Grand Cayman. Gdy z niego wysiedliśmy otoczyli nas sprzedawcy oferujący biżuterię i pamiątki.

Ciemnoskóra kobieta w barwnym stroju dźwigała iguanę, a Regina zachwycała się tym obrzydliwym gadem, jakby to było urocze, puchate zwierzątko. Nawet przekonała kobietę, żeby pozwoliła potrzymać tego potwora i poprosiła mnie, bym zrobiła zdjęcie całej trójce: Reginie, tacie i iguanie. Rany!

Autobusem pojechaliśmy na przystań, skąd odpływała łódź o przeszklonym dnie. Na pokładzie „Syreny” otrzymaliśmy krótką lekcję nurkowania: nałożyć maskę na nos i oczy; wsunąć rurkę do ust; włożyć płetwy na stopy. Cóż łatwiejszego? Przewodnik jeszcze coś wyjaśniał, ale nie słuchałam go, bo już złapałam podstawy.

Kiedy łódź odbiła od przystani, przetrząsnęliśmy zawartość dużego pudła szukając masek, które by na nas pasowały. Właśnie znalazłam odpowiednią i ją mierzyłam, gdy zobaczyłam Lanessę i Josha. W czarnych gumowych płetwach przypominali człapiące pingwiny i śmiali się ze swoich niezgrabnych ruchów. Musiałam przyznać, że dobrana z nich para.

Ale przecież nie są parą, przypomniałam sama sobie. Wedle kryteriów Lanessy Josh to już stare dzieje. Był panem na dzień czwarty, a dziś jest już piąty dzień rejsu. Lanessa najprawdopodobniej wybrała już ofiarę na dzisiaj i wieczorem biedny Josh będzie tylko wspomnieniem. Przez chwilę zastanawiałam się, czy by go nie ostrzec o czekającym go losie, ale

postanowiłam tego nie robić. Przecież rychło sam się o tym przekona. Dziwne, bo serce ścisnęło mi się współczuciem. Choć tak mnie złościł, jednak zasługiwał na coś lepszego.

Zmusiwszy się do uśmiechu, podeszłam do nich.

- Cześć! Gotowi? Zaraz wskoczycie do oceanu?

- Nie mogę się doczekać! - zawołała uszczęśliwiona Lanessa.

- Pomóc ci założyć strój, Cooper? Wbrew pozorom niełatwo oddychać przez rurkę - zatroszczył się Josh.

- Nie, dzięki. - Pokręciłam głową. - Poradzę sobie. Już wszystko wiem.

- Tak? - Uniósł brwi. - Nurkowałeś już kiedyś?

- Och, mnóstwo razy - skłamałam.

- A gdzie? W gliniance pod naszym drogim Turtle Creek? - kpił ze mnie. - Wspaniałe miejsce do łapania żab, ale woda gęsta jak zupa.

- Za to tutaj wszystko widać doskonale - wtrąciła się Lanessa.

- Nurkowałam wiele razy i Karaiby są najlepsze. Zobaczymy anioły morskie, ślizgi, papugo - ryby i niewyobrażalnie fantastyczne rafy koralowe.

Josh objął ją ramieniem i lekko uściskał.

- Nie umiem się oprzeć dziewczynie, która zna się na rybach. Chcesz być moim przewodnikiem?

Lanessa zachichotała i przytuliła się mocniej do niego.

- Możesz na mnie liczyć - odparła czule. beznadzieja, pomyślałam z niesmakiem obserwując to publiczne okazywanie uczuć.

Chyba jeszcze większy niesmak wzbudził we mnie słodki uśmiech rozlany na twarzy Josha. Gdybym się do niego tak przylepiła, zapewne skonałby ze śmiechu albo wyrzucił mnie za burtę. Oczywiście, ani mi w głowie przytulanie się do Josha Corteza! W porównaniu z Marcusem był tylko głupim, niedojrzałym szczeniakiem. Ale mimo to musiałam przyznać, że wygląda doskonale w czarnych spodenkach kąpielowych. Wczoraj na basenie też zwróciłam uwagę na jego świetną, sportową sylwetkę.

„Syrena” się zatrzymała. Zdjęłam szorty i koszulkę, wzięłam parę płetw i przyłączyłam się do taty z Reginą, którzy za resztą wczasowiczów schodzili po metalowych schodkach.

Gdy dotarliśmy na dolny pokład, wszyscy po kolei zakładali płetwy i wskakiwali do wody. Pochyliłam się i próbowałam założyć płetwy, ale okazało się to znacznie trudniejsze, niż wcześniej sądziłam. Uznałam, że wybrałam za małe. Nie miałam czasu wrócić i szukać większych, więc wykręcałam stopę tak długo, aż wcisnęłam do środka.

- Wszystko w porządku, Cassidy? - spytał tato.

Regina i on już się ubrali i z wypukłymi, szklanymi oczami i długimi rurami zamiast nosów przypominali dziwaczne stwory z

innej planety.

- Tak, tylko założę drugą płetwę.

Regina przyczłapała do mnie. Choć była raczej pulchna, to w zielonym jednoczęściowym kostiumie jej krągła sylwetka wyglądała bardzo pociągająco.

- Pamiętałaś, żeby zabrać ze sobą chleb, moja droga? - zapytała.

Pokręciłam głową zgrzytając pod nosem zębami, bo walczyłam z drugą płetwą.

- Nic się nie martw. Na wszelki wypadek zabrałam jeszcze jedną bułeczkę. Karmienie ryb to najwspanialsza zabawa. Tak śmiesznie podływają i łapią okruszki.

I kiedy się wyprostowałam, podała mi twardą bułkę.

Popatrzyłam z wahaniem na pieczywo. Czy egzotyczne, tropikalne ryby rzeczywiście będą jadły coś takiego? Trudno to sobie wyobrazić, ale jeszcze trudniej opierać się życzliwej serdeczności Reginy.

- Ee... dziękuję.

- Drobiazg. - Poczłapała w stronę taty, po czym spojrzawszy przez ramię zawołała: - Och, Cassidy, nie zapomnij napłuć do maski przed założeniem.

Pamiętałam wprawdzie, że gdzieś czytałam, jak to ślina chroni maskę przed zachodzeniem mgłą, ale wydawało mi się to

zbyt obrzydliwe, więc tylko się uśmiechnęłam i pomachałam. Regina i tato trzymając się za ręce wskoczyli w płytkie, intensywnie błękitne wody.

Nałożyłam maskę na twarz i zajęłam miejsce w kolejce, kiedy zobaczyłam, że Josh i Lanessa schodzą po schodach.

Co oni tak długo robili? - pomyślałam, ale w głębi ducha doskonale znałam odpowiedź. Nim Lanessa pocałuje się z panem na dzień piąty, najwyraźniej ćwiczyła technikę całowania na jego poprzedniku. I cóż z tego, że tak postępuje? Nie moja sprawa.

Rozdrażniona i wściekła, że wyglądam idiotycznie w masce i płetwach, poczłapałam do skraju pokładu. Przyszła moja kolej, więc wsunęłam rurkę do ust i wskoczyłam.

Słona woda wpadła mi do nosa. Za późno przypomniałam sobie, że przewodnik zalecał, by podczas skoku przytrzymywać maskę przy twarzy. Na wpół zanurzona, gorączkowo waliłam rękami i próbowałam oddychać przez rurkę, ale widać coś źle zrobiłam, bo napiłam się wody i maska zaszła mgłą.

Ale nawet przez zasnutą mgłą gogle widziałam, że otacza mnie coraz więcej ryb. Pływały wokół, bo przyciągała je rozmoczona bułka, która nadal ścisnęłam w dłoni.

Były ich setki we wszystkich kolorach tęczy! Wszędzie tylko ryby! Czułam się, jakbym była na starym filmie *Ptaki*, tyle że znalazłam się pod wodą i atakowały mnie nie skrzydła, lecz

płetwy. Wcale się nie zgadzałam z opinią Reginy, że są śliczne i słodkie. Smykały między nogami, kłębiły się przy ramionach. Wtem poczułam dziwne ukłucie w kark. Otaczały mnie krwiożercze ryby. Wysunęłam głowę nad powierzchnię wody i pisnęłam z przerażenia, ale nadal czułam, jak ze wszystkich stron dotykają mnie te przeklęte stworzenia.

Obok rozległ się wielki plusk i ktoś do mnie podpłynął. Dłoń sięgnęła od tyłu i palce podniosły maskę. A potem para silnych ramion objęła mnie i mocno przytuliła.

Zarzuciłam wybawicielowi ręce na szyję i gdy odwróciłam głowę, zobaczyłam, że to Josh.

- Już dobrze, Cooper - powiedział miękko. - Uspokój się. Nic ci nie zrobią. Tylko chciały zjeść bułkę. - I patrząc na mój kark, dodał: - O, jedna myślała, że jesteś smakowitym skorupiakiem.

- Ja... sądziłam, że tylko piranie gryzą - wykrztusiłam szcękając zębami.

- Tu nie ma żadnych piranii. - Josh zaśmiał się. - Po prostu zaplątałaś się na talerz jakiejś biednej, niewinnej rybce w czasie jej lunchu i tyle.

- Gdybyś mnie nie uratował, stałabym się jej lunchem. - Zadrżałam.

- Nic ci nie groziło. - I nadal trzymając mnie jednym ramieniem, wolną ręką odsunął mi mokre włosy z czoła. - Tak się

cieszę, że byłem przy tobie, gdy mnie potrzebowałaś.

- Och, a jak ja się cieszę!

I popatrzyliśmy sobie głęboko w oczy.

Wtedy stało się coś bardzo dziwnego i cudownego zarazem.

Josh pochylił głowę i nasze usta się spotkały w słonym, a niezwykle słodkim pocałunku. Chciałam, by trwał wiecznie.

To niemożliwe! Ja się nie mogę tak po prostu zakochać w Joshu! Przecież poza Marcusem nie istnieje dla mnie żaden innych chłopak na świecie, prawda?

ROZDZIAŁ 9

Odepchnęłam Josha, a on odpłynął kawałek i popatrzył na mnie ciemnymi oczami, w których widać było, jak wielką mu sprawiłam przykrość.

- Chyba powinienem cię teraz przeprosić - zaczął. - Ale od tak dawna chciałem to zrobić. Chociaż nigdy ci tego nie okazałem, Cooper, ale zawsze cię lubiłem. I to bardzo.

Przestraszona i zagubiona pośród uczuć, które mną miotaly, tylko pokręciłam głową, a kropelki wody poleciały z włosów na wszystkie strony.

- To wszystko moja wina. Jak mogło do tego dojść! Zapomniałam się... i zapomniałam o Marcusie..

- Och, tak - rzucił gorzko Josh. - O tej angielskiej niańce, na punkcie której dostałaś kota. I cóż takiego powinnaś w związku z nim pamiętać?

- Ja... sama nie wiem - wyznałam. - Zawsze marzyłam o takim chłopaku. Nie chcę stracić w jego oczach.

- Ale się nie martwisz, że stracisz w moich, co?

- Nie, wcale! Ale mnie nigdy przez myśl nie przeszło.. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że ty i ja... - Nie umiałam złożyć logicznego zdania. Jedno wiedziałam: muszę jak najszybciej uciec od Josha.

Moja maska wisiała na szyi na pasku. Naplułam do niej i

drżącymi rękami z trudem naciągnęłam na twarz. Patrząc na Josha przez plastik powiedziałam:

- Dzięki za ratunek. Jeśli chodzi o resztę, to udawajmy, że nic się nie stało, dobrze? Lepiej wróć do Lanessy. Pewnie się zastanawia, co tu się dzieje.

Wyraz bólu w jego ciemnych oczach niemal łamał mi serce, ale kiedy się odezwał, mówił tak lodowatym tonem, że mogłby zamrozić całe tak ciepłe Morze Karaibskie.

- Jak sobie życzysz, Cassidy.

Włożyłam rurkę do ust i wsunawszy głowę pod powierzchnię wody odpłynęłam tak szybko, jak tylko zdołałam w moich ciasnych płetwach.

Starając się unikać innych wczasowiczów znalazłam się w magicznym, milczącym świecie podwodnych czarów, a jego pełna spokoju cisza przynajmniej na razie ukoła moje skołatane serce. Teraz, gdy ryby już mnie nie atakowały, mogłam spokojnie podziwiać ich urodę. Niektóre zdawały się jarzyć własnym światłem, inne mieniły się barwami tęczy: fioletowe, złote i błękitne. Widziałam nawet wrak zatopionego okrętu. Był to wielki, szary kadłub, który miał najwyżej kilkadziesiąt lat, nie stary galeon ze skarbami, o których czytałam, ale mimo wszystko mnie zafascynował.

Marzyłam, by pozostać pod wodą długie godziny, może

nawet dni i uciec od wszystkich problemów, ale wiedziałam, że to niemożliwe. Zbyt szybko, jak na mój gust, usłyszałam syrenę z naszego statku wzywającą na pokład. Czas porzucić świat marzeń i powrócić do rzeczywistości.

Na pokładzie „Syreny” starałam się trzymać z daleka od Josha i Lanessy, a rozmawiać z tatą i Reginą. Nie wiedzieli o moim niemiłym spotkaniu z okropnymi rybami i nie miałam zamiaru im o tym wspominać. Wiedziałam, że Reginie zrobiłoby się przykro, gdy usłyszała, jak fatalnie wyszłam na wzięciu jej bułki!

Słuchałam ich entuzjastycznych opisów wspaniałości widzianych pod wodą i opowiedziałam, jak wielką przyjemność sprawiło mi pierwsze w życiu nurkowanie. Po lunchu, który zjedliśmy na „Silhouette”, nie przyjąłam ich propozycji, żebyśmy razem wzięli udział w przygotowanych przez załogę rozrywkach. W moim sercu szalała taka burza uczuć, że marzyłam tylko o jednym: schować się w kajucie i spróbować dojść ze sobą do ładu.

- Do zobaczenia przy obiedzie - zwróciłam się do taty.

- Hmm, właściwie to się nie zobaczymy przy stole - odparł. - Chcemy tym razem zjeść w małej francuskiej restauracyjce na górnym pokładzie i zostaniemy na kabaret.

- A może byś poszła z nami, Cassidy? - rzuciła impulsywnie Regina. - Z radością cię zabierzemy, prawda, Don?

Bardzo miło z jej strony, że zaproponowała, ale nie chciałam psuć ojcu randki, więc znów odmówiłam.

- Bawcie się dobrze - dodałam i poszłam do kajuty.

Nareszcie sama! Siadłam wyglądając przez bulaj na błękitnozielony ocean, który lśnił w blaskach popołudniowego słońca. Za parę dni koniec rejsu. Miałam takie wspaniałe marzenia i wszystko, czego pragnęłam, się wydarzyło. To dlaczego jestem tak przygnębiona? Śniłam o uczuciu i Marcus O'Roark, przystojny i wyjątkowy nieznajomy, niczym księżę z bajki, powiedział, że się we mnie zakochał.

Ale musiałam przyznać przed sobą, że moje serce rwie się do Josha Corteza. We wspomnieniach na nowo przeżywałam pocałunek, jakbym go oglądała na przewijanej w kółko taśmie wideo. Uwielbiam dotyk jego ramion. Uwielbiam słony smak jego warg.

Nie mogłam się dłużej oszukiwać.

Kocham Josha!

I cóż ja mam teraz zrobić?

Aż poskoczyłam, bo ktoś zapukał do drzwi. Jeżeli to Regina, to na pewno nie chcę z nią rozmawiać. Ale jeśli to tatuś, to przecież nie mogę się przed nim chować.

Ten ktoś znów zapukał, więc zebrałam siły i otworzyłam drzwi.

- Cześć! - powiedziała Lanessa. - Mogę wejść? - I nie czekając na odpowiedź, przeszła obok mnie i opadła na kolę.

- Eee... Lanesso, jestem bardzo zmęczona i właśnie miałam się przespać - rzuciłam mając nadzieję, że pójdzie.

Ale moje słowa nie zrobiły na niej wrażenia.

- Wyśpisz się po zakończeniu rejsu. Teraz musimy porozmawiać.

- O czym? - spytałam marszcząc brwi.

- Nie udawaj niewiniątka. - Zaśmiała się. - Myślisz, że jestem ślepa? Widziałam, jak się dziś rano całowałaś z Joshem. Prawie mi oczy wyskoczyły z orbit!

Czułam, jak rumienię się po korzonki włosów.

- Sama nie wiem, jak to się stało...

- Tyle to i ja wiem! Dlaczego mnie nie powiedziałaś, że schniesz z miłości do niego? Zaraz bym się wycofała. Tymczasem udajesz, że szalejesz na punkcie Marcusa.

- Bo byłam... Jestem... - Ukryłam twarz w dłoniach. - Już sama nie wiem, co czuję! Przepraszam, że całowałam się z twoim chłopakiem!

- Z moim chłopakiem? Joshem? - prychnęła Lanessa. - Nie kpij! Mówiłam ci, że nie startuje w tej konkurencji. Prawda, dobrze się z nim bawiłam, ale to wszystko i nic poza tym. Czysta zabawa. Ma fantastyczne poczucie humoru. I nie zrobił sceny

słyszając o moim zakładzie. Pękał ze śmiechu, gdy mu powiedziałam, że dostał numer cztery!

- On wie o twoim zakładzie? - Wpatrywałam się w nią zdumiona.

- Tak. Wiedziałam, że jest twoim przyjacielem, więc nie przed nim nie kryłam. I wszystko się świetnie ułożyło. - Lanessa uśmiechnęła się do mnie szeroko. - Wcale ci się nie dziwię, że się w nim zakochałaś. Gdybym szukała stałego związku, a nie tylko rozrywki, wzięłabym Josha pod uwagę.

- I wie, że jest numer pięć? - zapytałam zdumiona.

- Wie, że ktoś taki będzie, ale jeszcze nie wybrałam ofiary. Może pójdziesz ze mną na basen rzucić okiem na widoki?

Naprawdę chciałam wczłgać się pod kołdrę i przemyśleć te wszystkie zdumiewające informacje, lecz cóż by to pomogło? Nic.

Dlatego poszłam z Lanessą. Nie interesowały mnie jej ulubione widoki, ale może przynajmniej dzięki temu zapomnę na parę godzin o Joshu i... Marcusie. Z całych sił musiałam czymś zająć uwagę aż do obiadu, kiedy to usiadę do stołu z chłopcem, którego nie chciałam kochać.

Czy twój tato dziś z nami nie będzie jadł? - spytał pan Cortez, kiedy sama przyszłam do stolika.

- Nie - odparłam rozkładając na kolanach serwetkę. Krępowała mnie obecność Josha. Z uwagą studiował menu i ani

razu na mnie nie spojrział. - Poszedł do francuskiej restauracji z Reginą. Poznał ją parę dni temu w trakcie rozgrywek sportowych.

- Wspaniale! - ucieszyła się pani Cortez. - Powiedz mu, że nam go brakowało. Ale na szczęście zostałeś nam jeszcze ty, Cassidy.

Amalia uśmiechnęła się do mnie szeroko.

- Strasznie cię lubię - oświadczyła podskakując radośnie na krześle. - Szkoda, że nie pojechałaś z nami na wycieczkę. Widzieliśmy całe tysiące żółwi i zrobiliśmy zdjęcia w Piekło!

- Co takiego? - Popatrzyłam na nią zdziwiona.

Amalia chichotała tak bardzo, że prawie nie mogła mówić.

- Tak, Cassidy. Pojechaliśmy do Piekła!

- Tak się nazywa maleńka wioska na Grand Cayman - wyjaśniła jej matka. - Jest tam tylko parę kiosków z pamiątkami, poczta i osobliwe skały.

- Pułapka na turystów - narzekał pan Cortez. - Wy na pewno lepiej się bawiliście przy nurkowaniu.

- Tak - mruknął Josh schowany za menu.

- Było w porządku - rzuciłam lekko.

- Tylko tyle? - zdziwiła się pani Cortez. - Myślałam, że nurkowanie w Morzu Karaibskim będzie ekscytującym przeżyciem.

Było ekscytujące, to pewne, stwierdziłam w duchu

przypominając sobie pocałunek Josha. Aż za bardzo!

- Josh, coś ty taki dziwnie milczący? Coś się stało?

- zaniepokoił się ojciec.

- Nie. - Chłopiec pokręcił przecząco głową. - Jestem zmęczony.

- Żeby przypadkiem czegoś nie złapał. - Pani Cortez zatroszczyła się o syna.

- Nie martw się, mamó. Nic mi nie jest - zapewnił ją syn.

W tym momencie zjawił się kelner po zamówienia i kiedy odszedł, Josh rzucił mi jedno, palące spojrzenie, nim zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

Amalia wodziła oczami ode mnie do brata.

- Pokłóciliście się? - zapytała.

- Nie! - zawołaliśmy jednocześnie.

- Właśnie, że tak! - Znow wybuchnęła śmiechem.

- Ja się czasem kłócę z Joshem. Mama mówi, że tak bywa między rodzeństwem.

Josh walnął pięścią w stół, aż wszyscy podskoczyliśmy z wrażenia.

- Dość mam twojej głupiej zabawy! Wbij sobie do głowy raz na zawsze, że Cassidy nie jest moją siostrą!

- Oczywiście, że nie jest - powiedziała jego matka ze zdumieniem. - A ktoś twierdzi inaczej?

- Zapytaj tego chciwego szczeniaka! - rzucił Josh patrząc twardo na Amalię.

Łzy wypełniły ciemne oczy dziewczynki.

- Nie jestem chciwym szczeniakiem! - Zerwała się od stołu. - Muszę iść do toalety - rzuciła i uciekła z restauracji.

- Joshua, co cię opętało? - zapytał surowo ojciec. - Zachowujesz się bardzo dziwnie.

- To prawda - potaknęła pani Cortez. - Zupełnie niepotrzebnie tak wybuchnąłeś!

- Macie rację. - Josh pochylił głowę. - Przepraszam. Gdy Amalia wróci do stołu, zaraz ją przeproszę.

- No, myślę - rzucił ostro pan Cortez.

Czułam się okropnie. Josh powinien był krzyczeć na mnie, nie na Amalię. Przecież to ja ją przekupiłam, żeby udawała moją siostrę, i teraz stałam się przyczyną rodzinnej kłótni.

Mając nadzieję, że uda mi się rozładować atmosferę, zwróciłam się do pani Cortez:

- Proszę mi opowiedzieć o państwa wycieczce. Na pewno widzieli państwo wiele interesujących rzeczy na wyspie, my z tatą przesiedzieliśmy cały czas pod wodą.

Z radością zaczęła relację i kiedy zjawiała się Amalia z oczami zaczerwienionymi od płaczu, nastrój przy stole już się nieco ocieplił. Josh wymamrotał słowa przeprosin, które

dziewczynka przyjęła z godnością. Od tej chwili traktował ją szczególnie serdecznie, ale do mnie się nie odzywał, nawet nie spojrzał w moją stronę.

Nie mogłam znieść tego, że Josh mnie ignoruje. Nawet kurczak po grecku przyniesiony przez kelnera nie pobudził mojego apetytu. Nie zjadłam ani kęsa i pod byle pretekstem uciekłam od stołu. Spieszyłam na spotkanie z Lanessą. Po południu żaden z „widoków” przy basenie jej się nie spodobał, więc namówiła mnie, żebym z nią poszła obejrzeć występy artystów.

Dobrze, że się zgodziłam. Przedstawienie było fantastyczne i choć patrząc na tańce i słuchając piosenek nie zapomniałam o moich problemach, to przynajmniej nie myślałam o nich tak intensywnie. Ale nie mogłam zapomnieć o pustym żołądku. W połowie występów zaczęło mi w nim burczeć, a gdy przedstawienie się skończyło, z rozkoszą pochłonełabym czerstwe bułeczki Reginy.

Na szczęście nie musiałam uciekać się do tak drastycznych środków. Lanessa oświadczyła, że idziemy na wystawny bufet serwowany o północy.

- Nie wytrzymam do dwunastej! - jęknęłam. - Umieram z głodu!

- Spokojnie. Praktycznie zaczyna się o dwudziestej drugiej, a

właśnie minęła dziesiąta - wyjaśniła, gdy Szłyśmy do sali zwanej Chablis. - Poczekaj, aż to zobaczysz! Oczy ci zbieleją! Rzeźby z lodu, góry fantastycznych owoców tropikalnych. W życiu nie widziałas tak wspaniałej wyżerki.

Od jej opisu aż mi ślinka napłynęła do ust. Z rozkoszą wbiłabym zęby w cokolwiek do jedzenia. Jednak Lanessa zapomniała nadmienić, jak długo trzeba czekać w kolejce, by dotrzeć do stołów. Minęło pół godziny, nim doczłapałyśmy do przodu i zaczęłyśmy nakładać na talerze wyborne potrawy. Na półmiskach leżały krewetki, homary, w salaterkach całe tuziny sałatek i dań z drobiu, najróżniejsze wędliny, warzywa i owoce - a to zaledwie początek!

Z tęsknotą popatrzyłyśmy na fantastyczne desery piętrzące się w imponujących piramidach, ale na talerzach nie zostało nam ani odrobiny miejsca, więc postanowiłyśmy wrócić później.

- Te czekoladowe ciasteczka wyglądają bosko - powiedziała Lanessa. - Mam nadzieję, że jeszcze tu będą, kiedy przyjdę po deser.

- Jeśli zostanie mi odrobina miejsca, wezmę sernik z wiśniami - oświadczyłam.

- Rzeczywiście, bardzo apetyczny. - Lanessa westchnęła. - Powinnam była zabrać zapasowy żołądek!

Chichocząc poszłyśmy za kelnerem, który zaprowadził nas

do małego stolika, i zabrałyśmy się do jedzenia.

Każde z dań okazało się równie smakowite, jak to zapowiadał jego wygląd. I kiedy zjadałam soczystą galaretkę z homara uznałam, że obżeranie się to doskonałe lekarstwo na cierpienia sercowe. Jak to dobrze, że jesteśmy z Lanessą przyjaciółkami, a nie rywalkami.

Kiedy już spróbowałyśmy wszystkiego, co znajdowało się na naszych talerzach, nagle przypomniałam sobie o zakładzie Lanessy. Spojrzałam na zegarek: wpół do dwunastej.

- Rany, Lanesso! Już niedługo skończy się piąty dzień naszego rejsu, a ty jeszcze nie znalazłaś pana na ten dzień, a co dopiero mówić o pocałunku!

Uśmiechnęła się pewnie.

- Spokojna głowa. Zerkalam już w stronę deserów. Kręci się przy nich mnóstwo wolnych chłopaków, którzy wyraźnie szukają czegoś naprawdę słodkiego. Wiesz, co mam na myśli. Żaden wprawdzie nie jest w moim typie, ale mnie to nie obchodzi, najważniejsze to wyrobić normę. - Wstała i wygładziła na biodrach spódniczkę z pomarańczowego jedwabiu. - Idziemy, Cass. Słyszę, jak woła mnie ciasteczko czekoladowe!

Nadal nie podobała mi się gra Lanessy, ale poszłabym za nią wszędzie, byle tylko obserwować ją w akcji. Ruszyłam po sernik, a Lanessa namierzyła ciasteczka.

Jeden z nastolatków wybierający słodkości wydawał mi się znajomy. Szczupły, niewysoki z szopą ciemnych włosów. Gdzie ja go wcześniej widziałam? Oczywiście! Walczył z Joshem w ostatniej rundzie pojedynku na poduszki, a teraz okazało się, że ściga się z Lanessą, kto pierwszy chwyci ostatnie ciasteczko z półmiska. Sięgnęli po nie równocześnie, ale chudzielec chwycił je pierwszy.

- Hej, wolnego! To moje! - wrzasnęła Lanessa.

- Czyżby? - Chłopak uważnie obejrzał ciastko, nim położył je na swój talerz. - Nie widzę na nim twojego imienia.

Lanessa obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Skąd wiesz? Przecież nie wiesz, jak mam na imię. Jestem Lanessa Green. A ty?

- Cody Griffelli. - Wyciągnął wolną dłoń, a Lanessa ją przytrzymała odrobinę dłużej, niż powinna.

- Może byśmy tak ubili interes, Cody? - zaczęła słodkim głosem. - Jeśli mi je odstąpisz, dam ci coś w zamian.

- Tak? - Popatrzył na nią z zainteresowaniem. - A co?

Lanessa zatrzepotała rzesami.

- Coś, co będzie ci znacznie bardziej smakowało.

- Jeśli mówisz o galaretkę malinowej, to odpada - powiedział Cody. - Nie przepadam za owocami.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Twardy zawodnik!

Lanessa przesunęła się bliżej i potrząsnęła uwodzicielsko włosami.

- Nie o tym myślałam, Cody. Co byś powiedział, gdybym zaproponowała ci buziaczka?

- Buziaczka? Mówisz o nadziewanych czekoladkach owiniętych w celofan? - zapytał z kamienną twarzą.

Musiałam zakryć sobie usta dłonią, żeby nie parsknąć głośnym śmiechem.

Tymczasem Lanessa traciła spokój.

- Nie, nie to miałam na myśli - prychnęła. - Buziaczek jest wtedy, gdy dwoje ludzi przysuwa się do siebie i dotyka wargami!

- Aha. - Cody udawał, że się zastanawia, po czym rzucił lekko: - Wiesz co, Lanesso? Śliczna z ciebie dziewczyna, ale ja jestem trochę staromodny. Nie przepadam za dziewczynami, które się narzucają, więc nie skorzystam z propozycji. Ale dzięki. - Mówiąc to wyciągnął w jej kierunku talerz. - Weź ciastko. Zasłużyłaś sobie na nie. - Po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Lanessie szczęka opadła, mnie również. Nie wierzyłyśmy własnym oczom. Żywy, zupełnie trzeźwy przedstawiciel męskiego gatunku dał jej kosza! Po raz pierwszy zobaczyłam Lanessę Green, którą zatkało na mur!

ROZDZIAŁ 10

Następnego dnia przyłączyłyśmy się do wycieczki do Ocho Rios na Jamajce i Szłyśmy za całą grupą, w której znalazł się też mój ojciec i Regina. Obie byłyśmy w kwaśnych nastrojach; Lanessa przegrała zakład, a ja ciągle myślałam o jednym: że straciłam głowę dla Josha Corteza, chłopca, który nawet nie może na mnie patrzeć.

Lanessa zerknęła na parę w czułym objęciu pozującą do pamiątkowego zdjęcia na nabrzeżu.

- Najbardziej romantyczny port i ja nie mam z kim po nim spacerować! - stwierdziła ponuro.

- Masz mnie - zauważyłam z wymuszonym uśmiechem.

- Nie zrozum mnie źle, Cass, ale na dziś marzyłam o innym towarzystwie. Chcę opalonego, muskularnego, przystojnego chłopaka.

- Gdybyś przypadkiem zobaczyła Marcusa, możesz go sobie zabrać - oświadczyłam.

- Chyba żartujesz!

- Nie. - Pokręciłam głową. - Umówiłam się z nim na dzisiejszy wieczór, ale gdy wrócimy po południu na pokład, odwołam randkę.

- Odwołać randkę z takim facetem? Oszalałaś zupełnie - wydała diagnozę.

- Możliwe - przyznałam ze smutkiem. - Wezwij pielęgniarzy z kaftanem bezpieczeństwa, żeby mnie zabrali do wariatkowa. Myślałam, że zakochałam się w Marcusie, ale naprawdę zależy mi tylko na Joshu. Choć oczywiście to już nie ma znaczenia. Zrozumiałam to za późno i on mnie teraz nienawidzi.

- Tak, jasne! - Lanessa prychnęła. - Ten wczorajszy pocałunek rzeczywiście świadczył o wielkiej nienawiści do ciebie.

- To było wczoraj. - Westchnęłam. - A dziś jest dzisiaj. Wierz mi, Lanesso, wiem, co mówię.

- Niech to. Rozumiesz teraz, dlaczego unikam poważnych związków? Nie warto tak cierpieć.

- Dziewczęta, szybciej! - zawołał tato. - Autobusy wycieczkowe zaraz odjeżdżają!

On i Regina wybrali inną trasę niż my, więc już zajmowali miejsca w autobusie, a my popędziłyśmy dalej.

- Wsiądźmy do tego. - Lanessa wskazała zakurzony, brązowy mikrobus.

- Numer trzynaście? Tego mi właśnie potrzeba. Więcej pecha - mruknęłam ponuro.

- Daj spokój z tym negatywnym myśleniem, dziewczyno. - Lanessa zaśmiała się. - Najważniejsze jest nastawienie. Koncentruj się na pozytywnych uczuciach. Twórz wokół siebie przyjazny klimat, emanuj dobrą aurę, jak by ci poradziła moja

matka.

Nie było we mnie ani cienia dobrej aury, ale postanowiłam spróbować. Może i Lanessa ma rację. Jeżeli będę narzekała przez cały dzień, zepsuję sobie zabawę. A jeśli będę się zachowywała pogodnie, to może się rozerwę na wycieczce.

Upchnęliśmy się na tylnym siedzeniu zatłoczonego autobusu i przez następnych parę godzin zwiedzałyśmy Ocho Rios. Jechałyśmy zielonymi tunelami, które powstały na drogach, bo po bokach rosły potężne drzewa i gigantyczne paprocie, zatrzymywałyśmy się przy licznych sklepach z pamiątkami i z przyjemnością zwiedziłyśmy Shaw Park Gardens.

Ostatni postój wypadł przy wodospadzie na rzece Dunn, która z wysokości stu osiemdziesięciu metrów wpadała kaskadami do oceanu. Mieliśmy się wspiąć na samą górę, więc za resztą grupy poszłyśmy na piaszczystą plażę, gdzie przyłączyłyśmy się do dużej wycieczki. Wysłuchawszy pouczeń jamajskiego przewodnika zdjęłyśmy sandały i założyły gumowce, które nam rozdał.

Lanessa wcisnęła kalosze na nogi, wyprostowała się i wydała pełen przejęcia okrzyk. Gwałtownie chwyciła mnie za ramię.

- O, nie! Co ja widzę! Zobacz, kogo tu przyniosło!

Serce załomotało mi w piersiach. Z lękiem i nadzieją pomyślałam, że mówi o Joshu. Ale gdy rozejrzałam się w około,

nigdzie go nie zobaczyłam. Dostrzegłam tylko chudzielca, który wczoraj odrzucił szansę pocałowania Lanessy.

- O! Twój koleś od ciasteczka! - Prychnęłam śmiechem. - Nie podejdziesz się z nim przywitać?

- Za żadne skarby! I przestań się tak na niego gapić! - Szarpnęła mnie za ramię. - Nie chcę, żeby Cody mnie zauważył.

- Musisz najpierw wziąć parę opakowań tabletek na zbrzydnięcie, żeby chłopcy przestali na ciebie zwracać uwagę - rzuciłam sucho. - Ten Cody jest nawet interesujący, oczywiście na swój sposób. - I z uśmiechem dodałam: - Wiesz, coś mi wpadło do głowy. Może mimo wszystko nie przegrałaś zakładu? Założyłaś się, że pocałujesz jednego chłopaka każdego dnia rejsu, czyli masz pocałować się z siedmioma, tak? Musisz zaliczać jednego dziennie, jakbyś brała witaminy?

- W nosie mam zakład. Wolałabym umrzeć, niż pocałować tego gamonia! - warknęła.

- Jesteś wściekła, bo zranił twoją dumę.

- Nie! Przecież dostałam ciasteczko.

- Którego w końcu nie zjadłaś - przypomniałam jej.

- Bo straciłam apetyt, jasne? - Nagle Lanessa stanęła za mną i ukryła twarz w dłoniach. - O nie! On tu idzie!

Cody rzeczywiście sunął ku nam, ale minął nas nie patrząc nawet w jej kierunku.

- Co za bezczelne zachowanie! - wybuchnęła. Policzki płonęły jej ze wstydu. Chyba jej współczułam. A właściwie wcale nie. Przecież udało jej się całować z czterema chłopcami, wliczając w to Josha, więc nie potrzebowała mojego współczucia.

Przewodnicy podzielili zebranych na dwunastoosobowe grupy. Nasz, imieniem Joachim, polecił, żebyśmy się złapali za ręce tworząc łańcuch. Niski, krągły facet za mną wziął mnie za prawą rękę, a Lanessa za lewą. Cody stał dwie osoby przed nami. Ruszyliśmy na komendę Joachima i ostrożnie sunęliśmy pod kaskadami wodospadu stawiając kroki na kamieniach przypominających nierówno ułożone schody. Natychmiast przemokłam na wylot, ale rozpryskujące się ciepłe strumienie słodkiej wody cudownie odświeżały po upale, który nas męczył przez cały dzień.

- Jakie wspaniałe! - wrzasnęłam przekrzykując łoskot wodospadu.

Pomagałam Lanessie piąć się po ruchomych, kamiennych schodkach.

- Głośno, ale nieźle - odkrzyknęła. Wtem z piskiem pośliznęła się i wpadła w szczelinę puszczając moją rękę i dłoń chłopczyka idącego za nią. - Trudniejsze, niż się zdaje - mruknęła próbując się wydostać.

Chociaż większość ludzi w naszej grupie nadal trzymała się

razem, część szła na własną rękę. Chłopczyk pośpieszył do przodu, żeby przyłączyć się do rodziców, i teraz Lanessa znalazła się tuż za Codym.

Patrząc na jego plecy zawołała:

- Może byś mi tak pomógł, co?

Cody zatrzymał się i spojrzał przez ramię.

- A dasz mi za to buziaka?

Słyszając to Lanessa wybuchnęła śmiechem.

- Poddaję się! Cody, przepraszam cię za tę historię z ciasteczkiem. Jak mi pomożesz wyjść z tej szczeliny, to może zaczniemy jeszcze raz.

Uśmiechnął się do niej i wyciągnął rękę.

- Taką propozycję przyjmuję.

Dzięki pomocy Cody'ego Lanessa szybko wróciła na miejsce w szeregu. Ruszyłam za nimi, lecz nagle zatrzymałam się jak wryta, bo w grupie wspinającej się po drugiej stronie wodospadu zauważyłam znajomą postać.

Josh Cortez!

Zobaczył mnie w tej samej chwili i nasze spojrzenia spotkały się ponad kaskadami wody. Przez chwilę widziałam tylko Josha. Nie docierał do mnie grzmot wodospadu i głosy towarzyszy wyprawy. Zdumiewające, ale patrząc na Josha zatęskniłam za domem. Zatęskniłam za przyjaciółmi, parą moich kotów, Spooky i

Silver, a nawet za pizzerią, gdzie chodziłam z koleżankami. Wyjechałam tylko na tydzień, a już zapragnęłam, wrócić do domu. Jednak najbardziej pragnęłam Josha.

Podniosłam rękę i pomachałam mu. Ku mej radości nie zignorował tego gestu, lecz odpowiedział mi tym samym. Uśmiechnęłam się nieśmiało i on też obdarzył mnie uśmiechem.

Ale grubas za mną stracił cierpliwość. Poprosił, żebym się ruszyła, więc musiałam iść. Josh też wspinał się dalej. Byliśmy na tej samej wyprawie, ale oddzielnie; tak blisko, lecz za daleko, żeby się dotknąć.

Wtedy właśnie podjęłam ważną decyzję. Gdy tylko odwołam spotkanie z Marcusem, powiem Joshowi, co do niego czuję. Jeśli mnie wyśmieje, albo odrzuci, to złamie mi serce, ale muszę podjąć takie ryzyko.

Myśl pozytywnie, nakazałam sobie w duchu. Może mimo wszystko uda mi się zdobyć miłość tego wyjątkowego chłopca z mojej rodzinnej miejsciny.

Wróciwszy na „Silhouette” natychmiast poszłam do sali zabaw. Nie zastałam Marcusa, tylko Waria siedziała przy jednym z niskich stolików dla dzieci i sortowała stos kolorowych papierów.

- Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest Marcus? - zapytałam.

Nie podniosła głowy.

- Gdzieś tu w pobliżu.

- Gdzie? - dopytywałam się twardo.

- Nie ustępujesz bez walki, prawda, Cassidy? - rzuciła zmęczonym głosem patrząc na mnie. - Próbowałam cię ostrzec, bo wydawałaś się na tyle inteligentna, by dostrzec prawdziwe oblicze Marcusa. Ale najwyraźniej nie masz dość oleju w głowie. Jesteś jak inne głupiutkie dziewczęta, które za nim latają.

- Ja za nim nie latam, tylko chciałam z nim porozmawiać - wykrztusiłam, z trudem opanowując gniew.

- A o czym? Chyba zgadnę. Marcus, jesteś tak przystojny, podniecający i wspaniały, że się w tobie zakochałam. Tak mówią wszystkie nastolatki, a przynajmniej to opowiada mi Marcus. I świetnie się przy tym bawi.

Czułam, jak się czerwienię ze wstydu. Właśnie coś takiego wyznałabym jeszcze dwa dni temu. Ale nie dziś. Marcus opowiadał Warrii o swych romantycznych wielbicielkach! Zdałam sobie sprawę, jak bardzo się różni od obrazu, który stworzyłam w myślach.

Przecież właściwie nic o nim nie wiem. Nigdy mi nie wspomniał o swoim domu, rodzinie, zainteresowaniach i nigdy też nie zapytał mnie o moje życie. Kiedy byliśmy razem mówił te słodkie, urocze słówka, które mój wyśniony chłopak szeptał mi w marzeniach. Zastanawiałam się, czy stosował je do każdej

spotkanej dziewczyny i nagle zrozumiałam znaczenie wyrażenie „puste komplementy”.

Gdybym dalej była w nim zakochana, poczułabym się teraz okropnie, ale skoro mi przeszło, to się wcale nie przejęłam. Chciałam tylko jednego: odwołać randkę i skupić się na Joshu. Ponieważ Waria nie powiedziała mi, gdzie jest Marcus, sama muszę go znaleźć.

Wyszłam z sali zabaw na pokład dla dzieci. Marcusa też tu nie było, lecz Amalia pluskała się w brodziku z grupą maluchów. Zobaczyła mnie i podbiegła rozpryskując wodę.

- Molly, widziałaś gdzieś Marcusa? - zapytałam.

- Tak, niedawno. Rozmawiał ze Stuartem. - Mówiąc to wskazała młodego mężczyznę w białym stroju pilnującego dzieci. Widziałam go już parę razy, gdy pracował z Marcusem i Warią. - Do czego ci potrzebny Marcus? - dopytywała się Amalia.

- Hmm, umówiłam się z nim na randkę i...

- Wiem - przerwała Amalia i popatrzyła na mnie ze zmarszczonymi brwiami. - O tym właśnie rozmawiał ze Stuartem. Nazwał cię niezłą laską. Co to znaczy, Cassidy?

- Taki żart - odparłam ponuro. - Muszę znaleźć Marcusa. Naprawdę nie wiesz, gdzie on poszedł?

- Może wiem... - Zagryzła wargę i odwróciła wzrok. - Ale chyba nie chcę ci powiedzieć.

- Dlaczego nie? - spytałam zdumiona.

Amalia dalej nie patrzyła na mnie. Wbiła spojrzenie w dół, jakby zafascynował ją widok jej własnych stóp pod wodą.

Wreszcie rzuciła:

- Bo nie. Może byś ze mną tu została? Pochyliłam się i mocno ją przytuliłam.

- Z chęcią, ale teraz po prostu muszę porozmawiać z Marcusem. Nie możesz mi powiedzieć, gdzie on jest?

- No już dobrze. - Westchnęła. - Myślę, że jest na tarasie na górnym pokładzie. Powiedział Warii, że musi odpocząć.

- Dzięki. - Uśmiechnęłam się do niej. - Do zobaczenia, skarbie.

Pośpieszyłam na pokład jeszcze bardziej zdecydowana, żeby poważnie porozmawiać z Marcusem. Nazwał mnie niezłą laską? Za chwilę się przekona, jak dobra potrafić być ta laska.

Parę minut później zobaczyłam Marcusa wyciągniętego na rączniku. Ubrany tylko w białe szorty, wystawiał się do słońca. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu. Gdyby otaczali nas inni ludzie, może nie zebrałabym się na odwagę.

Podeszłam do niego.

- Marcus?

Otworzył jedno oko, potem szybko się poderwał i obdarzył mnie olśniewającym uśmiechem.

- Cassidy! Cóż za wspaniała niespodzianka. Nie sądziłem, że zobaczę cię przed wieczorem. Pochlebiam sobie, że nie mogłaś się doczekać na spotkanie ze mną.

Patrzyłam na niego poważnie, bez uśmiechu.

- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać - zaczęłam. -
Widzisz, zaszły pewne zmiany...

- Jedyna zmiana, jaką widzę, to ta, że od wczoraj jeszcze wypiękniałaś. Uwielbiam twoje poważne brązowe oczy i słoneczne, jasne włosy. - Marcus wstał.

- Wiesz co, Cassidy? Skoro już tu jesteś, to może cię oprowadzę po statku? - I patrząc wymownie ujął mnie za rękę. - Jest parę rzeczy, których mógłbym cię nauczyć i sądzę, że bardzo by ci się spodobały.

Świetnie się domyślałam, co takiego miał na myśli, i zdecydowanie nie chciałam uczyć się ich od niego.

- Przepraszam, Marcusie, lecz nie interesuje mnie oprowadzanie po statku. I nie spotkam się z tobą dziś wieczorem. Zmieniłam zdanie, jeśli chodzi o nas.

Próbowałam się odsunąć, ale mocniej zacisnął palce na mojej dłoni i jego błękitne oczy pociemniały.

- Tak? A czemuż to?

- Bo nie jestem w tobie zakochana - rzuciłam twardo. -
Kocham innego.

- Tylko ci się tak wydaje - upierał się. - Łączy nas coś bardzo cennego i wyjątkowego. Nie próbuj zaprzeczać, moja słodka Cassidy.

- Stanowczo zaprzeczam. - Zmarszczyłam brwi. - I próbuję ci wyjaśnić, co czuję. A teraz mnie puść.

Marcus wcale mnie nie puścił, tylko postąpił wręcz przeciwnie: złapał mnie w ramiona.

- Kochanie, nie walcz ze swymi uczuciami - wymruczał mi prosto w ucho. - Chcesz, żebym cię pocałował, wiem to. Zawsze umiem wyczuć te rzeczy.

- Tym razem się pomyliłeś!

Oparłam się mocno o jego tors próbując się wyrwać, ale był ode mnie silniejszy. Przestraszyłam się.

- Marcus! Daj spokój! Puszczaj!

- Zostaw tę panią w spokoju - usłyszałam męski głos.

Odwróciwszy głowę zobaczyłam Josha. Cudowny, bohaterski Josh przybył mi na ratunek!

Marcus też go zobaczył, ale nie zwolnił uścisku.

- Spadaj na bambus, Jankesie - rzucił chłodno. Josh ani drgnął.

- Amalia powiedziała mi, gdzie cię znaleźć - zwrócił się do mnie. - Powtórzyła mi też ciekawą rozmowę, którą podsłuchiwała po południu. Otóż ten lalusz chwalił się do jednego z kumpli, że w

trakcie rejsów uwodzi dziewczęta tysiącami i potrafi każdą w sobie rozkochać.

- Powtarzam, spadaj! - warknął Marcus. - Twoja siostra i ja prowadzimy prywatną rozmowę.

Szarpnęłam się w jego uścisku.

- Po pierwsze, Josh nie jest moim bratem - warknęłam. - A po drugie, to my nie mamy o czym rozmawiać.

- Moim zdaniem czas, żebyś ty spadał, dupku. - Josh postąpił ku nam i chwycił Marcusa za ramię. A ja kopnęłam go w goleń.

Marcus puścił mnie z okrzykiem bólu. Mruczając pod nosem obelgi chwycił ręcznik i kulejąc zszedł z pokładu.

Podbiegłam do Josha.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś! - zawołałam. Zarzuciłam mu ramiona na szyję i gorąco, namiętnie pocałowałam w usta.

Przez ułamek sekundy stał bez ruchu, ale w okamgnieniu i on mnie pocałował. Czułam, jak nasze serca biją razem; nigdy w życiu nie czułam się tak szczęśliwa i zadowolona.

ROZDZIAŁ 11

Ten boski pocałunek trwał tylko kilka sekund. Czułam, jak Josh zeszywniał i odsunął się ode mnie.

- Coś nie tak? - szepnęłam, widząc wyraz jego twarzy.

- Owszem, my. - Pokiwał głową z żalem. - To się nam nie uda, Cooper.

- O czym ty mówisz? - spytałam przejęta.

- Zbyt wiele nas dzieli. Zawsze cię lubiłem, no dobrze, nawet więcej niż lubiłem, ale jestem tym samym nudziarzem, którym byłem w Turtle Creek, a ty jesteś tą samą dziewczyną. Nigdy nie będziesz szczęśliwa z kimś, kto chce mieszkać na ranczu i kuć konie zamiast dalej się uczyć. Przyznaj się: pocałowałaś mnie tylko dlatego, że pomogłem ci uwolnić się od lalusia.

- Nie, Josh! - zawołałam. - To coś więcej!

- Chciałbym ci wierzyć, ale nie mogę. Poza tym, nawet gdyby to była prawda, to co mi po takim uczuciu? Zainteresowałaś się mną tylko dlatego, że twój wymarzony Anglik okazał się dupkiem. - Wzruszył ramionami. - Dalej śnij na jawie, Cooper. Życzę ci więcej szczęścia następnym razem.

Wpatrywałam się w niego z rozpaczą.

- Josh, mylisz się! Zaraz ci wszystko wytłumaczę...

Ale już sobie poszedł.

W piątkowy wieczór obowiązywały stroje wieczorowe i choć

mi było ciężko na sercu, założyłam sukienkę z batystu w barwne kwiaty z suto marszczoną spódnicą. Starannie się uczesałam i umalowałam do obiadu. Miałam nadzieję, że nawet siedząc naprzeciwko Josha, potrafię udawać, że wszystko jest w porządku. Chociaż Josh myślał, że to ja go odrzuciłam, właściwie to on mnie odepchnął i teraz tonęłam w rozpacz.

Po obiedzie tato miał się spotkać z Regina, a Lanessa umówiła się na randkę z Codym. Postanowiłam wcześniej pójść do łóżka i przepłakać pół nocy. To dopiero romantyczny rejs! Wszyscy znaleźli sobie kogoś bliskiego, tylko ja nie!

Usiadłam przy tacie i zerkałam ukradkiem na Josha ponad trzymanym w dłoniach jadłospisem, ale unikał mojego wzroku. Gdy czekaliśmy na podanie zamówionych dań, państwo Cortez, Amalia i tato opowiedzieli o swojej wycieczce po Ocho Rios, a potem zapytali mnie i Josha o wyprawę do wodospadu na rzece Dunn. Próbowałam wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu, gdy opisywałam wrażenia moje i Lanessy. Josh opowiedział śmieszne anegdotki o ludziach ze swojej grupy i zmusiłam się, żeby śmiać się wraz z innymi. Potem, kiedy kelnerzy i ich pomocnicy utworzyli długiego węża i tańczyli do wtóru rytmicznej, latynowskiej piosenki, uśmiechałam się i klaskałam, jakby się świetnie bawiła. Ale tylko udawałam. Jak mogłam się dobrze bawić, gdy chłopiec, którego kochałam, zachował się, jakbym nic

dla niego nie znaczyła?

Kiedy skończyłam deser, uciekłam od stołu pod pretekstem, że mnie boli głowa i chcę się położyć. Ale zamiast do kajuty, poszłam na najwyższy pokład i stanęłam przy poręczy. Patrzyłam na gwiazdy odbijające się w oceanie, lecz po chwili łyzy przesłoniły mi ten piękny widok. To niesprawiedliwe! Dlaczego musiałam się zakochać akurat w Joshu Cortezie?

Już się nie złościłam wspominając psoty, którymi rozślawił się w naszej rodzinnej miejscowości i których ofiarą często właśnie ja padałam. Niektóre były rzeczywiście śmieszne. Niewątpliwie Josh czasami zachowywał się jak błazen, ale odkryłam też jego wrażliwą, delikatną naturę. Dostrzegłam, że potrafi być dobrym przyjacielem. W ciągu tych paru dni na statku Josh wielokrotnie robił aluzje, że chciałby być kimś więcej, niż tylko moim przyjacielem i za każdym razem go odpychałam, zatopiona po uszy we śnie o miłości do ekscytującego nieznanego.

A teraz muszę uznać twarde, niezaprzeczalny fakt, że popełniłam okropny błąd. Czy jest jakiś sposób na zdobycie jego uczuć? A może wyrzucił mnie na zawsze i z serca, i ze swego życia?

W sobotę, ostatniego dnia rejsu, spotkałam się z Lanessą na pokładzie Lido. W bikini ze złotej połyskliwej tkaniny i ze

złotymi koralikami wplecionymi we włosy wyglądała jeszcze bardziej zachwycająco niż zwykle.

- I jak ci poszło na randce z Codym wczoraj wieczorem? - zapytałam przysuwając leżak i kładąc się na nim.

- Cudownie. Tak cudownie, że nigdy w życiu nie czułam się tak okropnie! - narzekała.

- Co takiego? - Wpatrywałam się w nią zdumiona. - Przetłumacz mi to.

- Cody jest świetny: bystry, z poczuciem humoru i doskonale całuje.

- To na czym polega problem?

- Na tym, że jest bystry, z poczuciem humoru i doskonale całuje. Och, Cass, ja się nie chcę zakochać! - jęknęła. - Przecież to miało być inaczej. Popsuje wszystkie moje plany.

- I mnie to mówisz. - Westchnęłam.

- Nadal źle z Joshem? Smutno pokiwałam głową.

- Wszystko między nami skończone, a przecież jeszcze się nic na dobre nie zaczęło.

Opowiedziałam jej wydarzenia wczorajszego dnia: utarczkę z Marcusem, o tym, jak pocałowałam Josha i jak on mnie odepchnął.

Po raz pierwszy Lanessa nie znalazła dla mnie żadnej rady. Tylko smutno potrząsnęła głową.

- Niech to diabli. Zawsze to mówiłam: miłość potrafi człowiekowi zupełnie pokreślić życie. - I wstając zaproponowała: - A może by utopić nasze smutki w wodzie i popływać w basenie?

- Czemu nie? - Westchnęłam.

Już miałyśmy wskoczyć, gdy kątem oka spostrzegłam wysoką, opaloną na brąz postać w bieli wchodzącą na pokład, podążała za nią gromadka dzieci.

- O nie! To Marcus. - Szybko schowałam się za Lanessę. - Zasłoń mnie! Za nic w świecie nie chcę z nim rozmawiać.

Lanessa obrzuciła go pełnym aprobaty spojrzeniem.

- Hmm... Może Marcus rozwiąże mój problem? Byłby z niego fantastyczny pan na dzień siódmy.

- Czyś ty zwariowała? - wykrztusiłam z trudem.

- Przecież już i tak przegrałaś zakład. Poza tym jak możesz myśleć o całowaniu się z kimś, kto mnie tak potraktował? Toż to skończony dupek.

- Ale jaki przystojny. - Uśmiechnęła się. - I mogłabym się z nim całować bez obaw, że się zakocham.

- Nie zrobisz tego! I co z Codym? Przecież nie możesz tak go zostawić!

Lanessa odrzuciła włosy do tyłu.

- Mogę zrobić to, co zechcę. Cody nie ma na mnie monopolu. Już mu powiedziałam, że nie pójdę z nim bal „Par i

Zakochanych”.

- Och, Lanesso, nie odrzucaj go - nalegałam. - Nie niszczy szansy na głębsze uczucie, bo możesz tego gorzko pożałować. Wierz mi, sprawdziłam na własnej skórze.

- Ale ja nie chcę głębszego uczucia - rzuciła lekko.

- Szukam przyjemności i zabawy, zupełnie jak Marcus. I wydaje mi się, że ten wspaniały dureń trafił na równego sobie przeciwnika!

Tym razem się z nią zgodziłam.

I gdy Lanessa poszła w stronę Marcusa, zebrałam swój ręcznik i wyniosłam się z pokładu. Szkoda, że nie umiem z taką łatwością spisać na straty Josha, jak ona pozbyła się Cody'ego. To przecież niemożliwe. Ponura szłam na sterburtę, gdy podbiegła do mnie Amalia.

- Tu jesteś, Cassidy! - zawołała. - Wszędzie cię szukałam!

- No i znalazłaś. - Zmusiłam się do uśmiechu.

- Wyglądasz na smutną - stwierdziła dziewczynka, która wcale się nie nabrała na moje miny. - O co chodzi? - zapytała drepcząc obok mnie.

O wszystko, pomyślałam.

- O nic - odparłam. - Tylko zaczęłam się nad sobą użalać.

- Coś popsułaś albo zgubiłaś?

- I jedno, i drugie - odpowiedziałam myśląc o moim związku

z Joshem.

- Popsułaś i zgubiłaś? Ale wpadłaś w tarapaty.

- Jakbyś przy tym była.

- Co zgubiłaś? Może ci pomóc szukać? - zapytała gorliwe. -

Umiem to świetnie robić. I będziemy się doskonale bawić, jak przy poszukiwaniu skarbów.

- Obawiam się, że to, co zgubiłam już się nie znajdzie, ale i tak dzięki. Jesteś najlepszą siostrzyczką na świecie.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście - odparłam z uśmiechem. - Jesteś wspaniała.

Ekstatyczny uśmiech Amalii rozjaśnił całą jej twarzyczkę.

- A ty jesteś jeszcze wspanialsza! Tak bym chciała, żebyśmy naprawdę były siostrami! - Uśmiech nagle zgasł. - Ty też, Cassidy? - zapytała z niepokojem.

- Tak, ale gdybyś była moją siostrą, to Josh byłby moim bratem, a to mi się wcale nie podoba - wymknęło mi się, nim zdałam sobie sprawę ze swoich słów.

- Dlaczego? Nie lubisz go?

- Na tym właśnie polega problem. Lubię go za bardzo.

Dziewczynka wpatrywała się we mnie dużymi, okrągłymi ze zdumienia oczami.

- To znaczy, że się w nim zakochałaś? Już nie kochasz Marcusa? To ekstra!

Kładąc jej dłonie na ramionach, odezwałam się z naciskiem:

- Och, proszę cię, ani słowa Joshowi, dobrze? Nie chcę, żeby wiedział o moich uczuciach, bo... hmm... on ich nie odwzajemnia.

- Dlaczego nie? - spytała marszcząc brwi.

- Nie kocha mnie i już. - Westchnęłam. I żeby zmienić temat, spytałam: - Dlaczego mnie szukałaś?

- Prawie zapomniałam! - Amalia sięgnęła do kieszeni szortów, wyjęła dwa pomięte papierki i podała mi je. - Proszę.

Gdy je wygładziłam, ku swemu zdumieniu zobaczyłam dwa banknoty pięciodolarowe.

- To są pieniądze, które mi dałaś - wyjaśniła dziewczynka. - Nie chcę, Cassidy, żebyś mi płaciła za udawanie siostry. Zrobię to za darmo, bo cię kocham.

Objęłyśmy się mocno.

- Och, skarbie, ja też cię kocham - wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

Niestety, Amalia nie była jedynym członkiem rodziny Cortezów, którego kochałam. Tylko że ona jako jedyna dzieliła moje uczucia.

Tato i Regina zajrzeli do mojej kajuty w drodze na bal „Par i Zakochanych”. Oboje wyglądali wspaniale. Tato w smokingu, Regina w długiej kremowej sukni niemal takiego samego koloru, jak jej jasnoblond włosy.

- Na pewno nie chcesz iść z nami, Cassidy? - zapytała. - Wiesz przecież, że to ostatnie duże przyjęcie w trakcie rejsu.

- Dzięki, ale nie mam pary i nie jestem zakochana - oświadczyłam ponuro. - Zostanę sobie tutaj i obejrzę jakiś film w telewizji.

- Średnia zabawa. - Tato zmarszczył brwi. - Telewizję możesz oglądać po powrocie do Turtle Creek. Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak, tato, naprawdę. Dobrej zabawy.

- Bawilibyśmy się znacznie lepiej, gdybyśmy wiedzieli, że i ty jesteś zadowolona - powiedziała Regina nie kryjąc troski. - Młodym się jest tylko raz, przynajmniej tak twierdzą mądrzy ludzie. - Tu zerknęła z uśmiechem na mojego ojca. - Chociaż chyba sama w to nie wierzę. Odkąd spotkałam twojego ojca czuję się jak nastolatka!

Uśmiechnął się i zaczerwienił. Musiałam przyznać, że Regina nie tylko jego sobie zdobyła, ale mnie również.

- Biegnijcie, dzieciaki - zakpiłam. - Tylko się grzecznie bawcie. Dziś wieczorem nie musicie wracać do domu przed dziesiątą, bal do białego rana.

Oboje prychnęli śmiechem i ucałowali mnie. Potem objęci wyszli z kajuty, a ja zostałam sam na sam z telewizorem.

Właśnie usadowiłam się na koi i sięgnęłam po pilota, gdy

usłyszałam pukanie do drzwi. Mając nadzieję, że to Josh, i doskonale wiedząc, że się mylę, poszłam otworzyć.

Ku swemu zdumieniu na progu zobaczyłam Lanessę i Cody'ego trzymających się za ręce. Lanessa wyglądała uroczo w sukience drukowanej w egzotyczny wzór, a Cody w smokingu prezentował się zabójczo. O co tu chodzi? Przecież parę godzin temu Lanessa oświadczyła, że rzuca Cody'ego na rzecz Marcusa!

- Nigdy nie zgadniesz, co się stało! - zawołała Lanessa wchodząc do środka. Cody wsunął się za nią.

- Nawet nie będę próbować. Mów natychmiast!

- No więc po południu, kiedy mnie zostawiłaś, zjawił się Cody i gdy mnie zobaczył z Marcusem, szlag go trafił! - Zachichotała. - Wepchnął go prosto do basenu, a potem chwycił mnie w ramiona i powiedział, że szaleje na moim punkcie. Słyszałaś kiedyś równie romantyczną historię?

Cody objął ją ramieniem.

- Lanessa jak zwykle przesadza - wyjaśnił. - Nie wepchnąłem go do wody, tylko stuknąłem go w ramię, a on stracił równowagę i wpadł do basenu. - I uśmiechając się do niej czule, dodał: - Ale nie przesadziłaś z jednym: naprawdę oszalałem na twoim punkcie.

Popatrzyła na niego rozjaśnionym wzrokiem.

- Hmm, chyba dzielam twoje uczucia.

- A to dopiero! - zawołałam. - Jak się cieszę! Gratulacje.

- Czy cieszysz się wystarczająco, żeby uczyć to z nami na balu „Par i Zakochanych”? - spytała Lanessa.

- Nie, tego nie mogę zrobić - rzuciłam szybko, - Nie mam z kim iść... Pewnie by nawet mnie nie wpuścili.

- Oczywiście, że cię wpuszczą. - Uśmiechnął się przebiegle Cody. - Powiem im, że ja przyszedłem z parą zakochanych we mnie dziewcząt!

- Chodź z nami - błagała Lanessa. - Będę cię dręczyła tak długo, aż się zgodzisz, więc oszczędź nam obu zachodu i ustąp od razu.

- No dobrze. - Podniosłam dłonie w geście poddania. - Wygrałaś! - Wyjęłam z szafy szmaragdową sukienkę i ruszyłam do łazienki. - Dajcie mi tylko parę minut na przebranie.

Sala balowa była udekorowana setkami czerwonych baloników i wstęgami w biało - czerwone paski. Kiedy wchodziliśmy we trójkę zobaczyłam pary w najróżniejszym wieku siedzące na pasowych kozetkach i popijające koktajle z wysokich, kryształowych kieliszków.

- To był błąd - wymamrotałam. - Założę się, że jestem jedyną samotną osobą na sali.

- Nie jesteś sama, jesteś częścią grupy para plus jeden - zażartowała Lanessa. - No, koleżanko, za późno na ucieczkę! Bal się właśnie zaczyna!

Cody objął nas ramionami. Niechętnie pozwoliłam się zaprowadzić na kozetkę w pobliżu sceny. Cody zamówił u przechodzącego kelnera trzy wody sodowe z sokiem limonowym, potem przytulił Lanessę, a ja zaczęłam się rozglądać wokół. Zauważyłam tatę i Reginę przy stoliku niedaleko nas, więc im pomachałam, ale byli tak zajęci sobą, że tego nie zauważyli. Poznałam też wuja i ciotkę Lanessy, a po przeciwnej stronie sali siedzieli państwo Cortez trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy.

Gdziekolwiek spojrzęłam widziałam pary i zakochanych, i tylko ja byłam sama. No, nie całkiem. Właściwie byłam z Codym i Lanessą, ale równie dobrze mogliby się znajdować o setki mil stąd, tak bardzo zajęli się sobą.

Gdzie jest Josh? - pomyślałam. Czy pilnował Amalii, żeby rodzice mogli spędzić bez przeszkód ostatni wieczór na statku? Uśmiechnęłam się smutno. Zupełnie w stylu Josha i właśnie za takie piękne gesty go kocham.

Zarówki w żyrandolach rozbłysły mocniej, potem przygasły i orkiestra zaczęła grać szybki, rytmiczny utwór. Wyrwało mnie to z ponurego zamyślenia. Spojrzałam na scenę, gdzie reflektor oświetlał dziwnego faceta ubranego w pierzasty kostium. Miał zielonego kucyka, kolczyk w dziurce od nosa i trzymał w dłoni mikrofon. Na drugiej siedziała pacynka: kudłaty, czarno - biały

piesek.

- Dobrze się bawicie? - zawołał do widowni.

- Tak! - wrzasnęli wszyscy; rzecz jasna beze mnie.

- No to czeka was jeszcze lepsza zabawa - stwierdził cudak kręcąc się wokół swojej osi i wymachując w powietrzu pieskiem. - Nazywam się Gil Gelman i przez następną godzinę będziemy płaść w czułych uściskach! Ale potrzebuję partnerki. - Spojrzał na pacynkę i zmarszczył brwi. - Umówiłem się na randkę z Delią, dalmatyńczykiem. Jak widzicie, prawdziwa z niej suka.

Widownia zachichotała.

- Byliśmy kiedyś tacy szczęśliwi. - Westchnął, a łepiek Delii pochylił się. - Tyle nas łączyło: łapanie pcheł o północy, podwójne paczki psich herbatników i długie, bardzo długie spacery. A w zeszłym tygodniu rzuciła mnie dla baseta. Koniec z nami! - Gil odrzucił od siebie pieska, który poszybował w powietrzu i wylądował na naszym stoliku niemal przewracając szklanę Lanessy. Pisnęła i złapała się Cody'ego, po czym wybuchnęła śmiechem, gdy wzięłam Delię i pogłaskałam jej kudłaty łepiek.

- A więc szukam jej następczyni - ciągnął komik. - Czy ktoś z tu obecnych lubi psie herbatniki i pchełki od czasu do czasu? - Udawał, że złowił jedną w kucyku. Wszyscy się zaśmiewali, a ja wraz z nimi. Nagle Gil wskazał na mnie i zawołał: - Hej! Blondyna! Ta z tym psem o głupim wyrazie pyska! Ale źle trafiłaś. Co

byś powiedziała na randkę z rasowym okazem?

Widownia zaśmiewała się do łez, a promień reflektora przesunął się i teraz oświetlał mnie. To było sto razy gorsze od walki na poduszki! Chciałam się wczołgać pod stół, ale tylko siedziałam jak skamieniała, doskonale widoczna w blasku światła.

- Nie, dziękuję - wykrztusiłam słabym głosem. Gil dramatycznym gestem załamał dłonie.

- Następna mnie odrzuca! - Podszedł na skraj sceny i pochylił się ku mnie. - Taka ślicznotka pewnie już ma chłopaka, co? Gdzie on jest? Pokaż mi tego kundla, a wyślę go do przytułku dla zabłąkanych psów!

Orkiestra zaczęła grać wolny, romantyczny utwór, a komik wyciągnął dłoń.

- Chodź, ślicznotko - nalegał. - Zatańcz ze mną pierwszy taniec.

- Musisz sobie znaleźć inną ślicznotkę! - zawołał ktoś z głębi sali. - To moja dziewczyna!

Nie wierząc własnym uszom, obróciłam się na krześle i zobaczyłam, jak Josh pędzi ku mnie przez środek parkietu. Drżąc z radości wstałam i rzuciłam mu się w ramiona. Widownia biła brawo i pokrzykiwała, uważając to za część występu.

Gil nie dał się zaskoczyć. Reflektor znów go oświetlił i komik powrócił do przygotowanych dowcipów, ale ja nie

słyszałam ani słowa. Josh przesłonił mi cały świat.

- Powiedziałeś to tylko dlatego, że znów potrzebowałam ratunku, czy mówiłeś serio? - szepnęłam wpatrując się w jego oczy.

- Naprawdę tak uważam - odpowiedział też szeptem. - Kocham cię, Cooper. Jesteś dla mnie jedyna na całym świecie. Zawsze tak było, ale myślałam, że nie mam u ciebie szans. Kiedy Amalia mi powiedziała, jak dziś...

- Amalia? - wykrztusiłam z trudem. - Kiedyś jej utnę ten kochany, długi ozór! Myślałam, że umie dotrzymać tajemnicy, a tymczasem za moimi plecami zabawiała się w Kupidyna!

- Żałujesz? - spytał miękko Josh. Przytuliłam się mocniej.

- Nie, Josh - wymruczałam. - Wcale!

I gdy następnego dnia „Silhouette” wpływała do portu w Miami, stałam z Joshem na górnym pokładzie. Obejmował mnie ramieniem i mocno do siebie przytulał. Obok nas tato i Regina uszczęśliwieni planowali wspólną przyszłość. A z drugiej strony Lanessa przytulała się do Cody'ego pociągając nosem,

bo mieszkał w Wirginii i będzie mógł ją odwiedzić dopiero za długie dwa tygodnie.

- Jaki to był zdumiewający tydzień! - powiedziałam patrząc na Josha z uśmiechem.

- Tak. Trudno uwierzyć, że dziś wieczorem nowi

pasażerowie wypełnią statek, a my będziemy w drodze do Turtle Creek. - Spojrzał na mnie z poważnym wyrazem twarzy. - Ale co się stanie po upływie paru tygodni? Może ci się znudzę i znów zaczniesz marzyć o ekscytującym, wyrafinowanym chłopaku?

Na moment w duchu zobaczyłam Marcusa.

- To się nie zdarzy - powiedziałam miękko.

Musiałam wyjechać w rejs po Karaibach, by zobaczyć, że uczucie, którego tak szukałam, czekało na mnie w rodzinnej miejscowości.

- Kocham cię, Josh - wyznałam cicho zarzucając mu rękę na szyję.

- Ja też cię kocham, Cooper... ee... Cassidy. Uśmiechnęłam się do niego.

- Mów na mnie Cooper - zdołałam powiedzieć, nim nasze usta się spotkały.